

KLEMENS BĄKOWSKI.

FRASZKI
DEMOKRATYCZNE



KRAKÓW
DRUKARNIA „GŁOSU NARODU“
1926.

KLEMENSŃ BĄKOWSKI.

FRASZKI

DEMOKRATYCZNE

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAM
Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr 72
00-770 Warszawa
Tel. 26-63-63, 26-52-31 w. 42

KRAKÓW
DRUKARNIA „GŁOSU NARODU”
1926.

125

<http://fcin.org.pl>

CZEŚĆ PIERWSZA.

FRASZKI POLITYCZNE.



I.

BARWY POLITYCZNE.

Niema dziś bardziej popularnego i pożytecznego przymiotnika, jak „demokratyczny“. Każde stronictwo, zebranie, stowarzyszenie, gazeta, nosi etykietę demokratyczną. Pływamy tak po uszy w demokracji, że nawet rozmaici konserwatyści, wstecznicy, klerykali musieli popłynąć z prądem i przydać sobie demokratyczną kokardkę.

Myliłby się jednak, ktoby myślał, że każdy może pewnego dnia powiedzieć: Jestem demokratą! To nie dość, powiem nawet, że nie. Trzeba powiedzieć, jakim się zostaje demokratą. Gdy, kto chce wejść do kąpieli, to rozbiera się, bada temperaturę powietrza i wody, dodaje sody lub innych ingrediencji do wody i dopiero decyduje się na kąpiel, a gdy ma ją w czyn wprowadzić, znowu stosuje rozmaite sposoby. Jeden chluzt do wody odrazu, drugi higienista najprzód nacierą wodą piersi i t. d. i dopiero z rozmysłem zanurza się stopniowo. Tak samo ten, kto

chce skąpać się w demokracji, musi pierwiej rozważyć kwestję przymiotnikową, czy to ma być demokracja polska, czy narodowa, chrześcijańska, mieszczańska, socjalna lub ludowa, gdzie lepszą widzi przyszłość, dla kraju oczywiście, nie dla siebie, przynajmniej tak się mówi.

Również należy się zastanowić nad konstelacją współczesną polityczną. Najlepszą chwilą jest czerwiec. Zbliżają się ferie sejmowe, można więc przypuszczać, że dane ministerstwo utrzyma się prawdopodobnie przez trzy miesiące, a więc można ocenić, jaki wpływ w niem ma pewna partja.

Każda partja demokratyczna ma swoje „Jajo“, spółkę drzewną, zbożową, bydłą, lub bank, trzeba więc ocenić, jakie stosunki ma ta partja z urzędem przywozu i wywozu, z urzędami celnymi, ziemskimi i wogóle z rządem, jaki wpływ mają dzienniki popierające daną partję, jakie znaczenie mają jej posłowie. Dopiero po ocenieniu tych wszystkich okoliczności decyduje się, do której partji się przystępuje.

(Jeżeli jest kilku braci, to bardzo dobrze im zrobi, jeżeli każdy będzie należał do innej partji, to ułatwia różne interesa, wzajemną pobłażliwość, czasem i popularność).

Akt chrztu demokratycznego może się odbyć prywatnie, bez rozgłosu, lub ostentacyjnie przez wpisanie się do stronnictwa, pod egidą jakiegoś wybitniejszego demokraty, jakby ojca chrzestnego. Wtedy dopiero jest się właściwie demokratą niejako patentowanym. Równocześnie, lub już wcześniej, przyznaje się predylekcję pewnemu dziennikowi demokratycznemu i ten stale się czytuje.

Tak samo jak katolicy są praktykujący, lub tylko teoretyczni, albo nawet modernisci lub indyferentni, tak i demokratów bez względu na przymiotnik, podzielić można na praktykujących t. j. agitujących, wiecujących, manifestujących, protestujących, gadających i piszących, a wierzących w swój jedynie dziennik, jak w ewangelję; oraz na indyferentnych, pozwalających sobie na krytykę, lub nawet czytających dzienniki i książki „wrogie“.

Takich indyferentów podejrzewają praktykujący demokraci o skłonność do zdrady i nazywają ich zakapturzonymi konserwatystami, albo skrytymi reakcjonistami, przychodzą jednak do nich po głosy i podpisy, ale nie dopuszczają do żadnych „godności“ partyjnych i odpychają na tyły. Wpraw-

dzie wedle zasad demokratycznych wszyscy są równi, ale już w zaraniu tej równości w r. 1791, gdy minister wojny Narbonne wyraził się w Zgromadzeniu Narodowem francuskiem: „Powołuje się na najwybitniejszych członków“, „zawołał dep. Merlin: „Wszyscy deputowani są równie wybitni!“.

Jest to więc tylko teoria, a w praktyce patentowanych demokratów wolno kierunek nadawać tylko grupie na czele stojącej, rzesza zaś ma ślepo za nimi głosować, demonstrować, podpisywać protesty, petycje, uchwalać rezolucje, wiecować i t. d. Ta faktyczna nierówność powoduje właśnie rozdzielenie się demokracji pod różne sztandary, gdyż nie wszyscy chcą być szeregowcami. Jeżeli nie wszyscy, to całe masy demokratów sądzą, że mają buławę marszałkowską w tornistrze, od czasu do czasu tworzy się więc nowy sztab ze swymi generałami pod przemalowaną etykietą przymiotnikową, a inny dziennik zyskuje znaczenie ewangelji. Stąd cały sejm jest demokratyczny, a nie można znaleźć większości demokratycznej dla byle rozsądniejszego wniosku.

II.

TYTULATURA.

My Polacy jesteśmy z dziada, pradziada demokratami. Gdzieś tam przed wiekami królowie tytułowali swoich doradców comesami, baronami, ale to wyszło z mody już w XV. w., a pozostały tylko tytuły wskazujące urząd lub funkcje, jak kanclerz, podskarbi, wojewoda, starosta, łowczy, sędzia i t. d. Ale że natura ludzka jest ułomna i każdy pragnie coś znaczyć choćby tytułarnie, więc przyjęło się tytułowanie i ich dzieci wojewodzicami, kasztelaniami, starościami, stolnikowiczami. Każdy szlachcic choć wystawał w antykameryze magnata lub wprost u niego był w służbie, teoretycznie uważał się za równego i zazdrośnie bronił wprowadzenia jakich tytułów rodowych. Gdy król Jagiełło chciał pasierbowi swemu Janowi z Pilcy nadać tytuł comesa (hrabi), kanclerz koronny biskup krakowski Wojciech Jastrzębiec odmówił przyłożenia pieczęci na dyplom. Musieli więc magnaci

kontentować się tylko dodatkową tytułaturą Oświeconego, Jaśnie Wielmożnego, a prosty szlachetka obrażał się, gdyby mu nie dodano nobilis, szlachetny.

Ale tytuły wdzierały się powoli pokątnie. Początek dał cesarz Maksymiljan, obdarowując po zjeździe Wiedeńskim 1515 r. magnatów polskich tytułami książąt i hrabiów, co było z jego strony bardzo ekonomiczne, bo taniej mu wypadało dać pergamin z tytułem, niż, jak wówczas było w zwyczaju, kosztowne upominki: łańcuchy, dzbany, pierścienie. Obdarowani nie przyjęli niby tych tytułów, oświadczając z podziękowaniem, że „nie chcą wprowadzać do Polski nic nowego, niezgodnego z równością szlachty, że król i ojczyzna dość im zaszczytu i ozdoby w szlachectwie przyznają“ etc. — ale pochowali pergamin, a później od niechcenia tytuły przybierali. Następni cesarze podobnie kaptowali sobie szlachtę polską i tak powstałi hrabiowie św. cesarstwa rzymskiego Górkowie, Tarnowscy, Tęczyńscy, Ostrorogi, Kościeleccy i t. d. Za to na Litwie możne rodziny wywodziły się niby od książąt i używały tego tytułu, więc w akcie unji lubelskiej zawarowano panom z Litwy i Rusi tytuły knia-

ziów z ostrzeżeniem jednak, że te odznaczenia w niczem równości szkodzić nie mają.

W XVII. w. marszałek koronny, Zygmunt Myszkowski, przyjął tytuł margrabi, ponieważ książęta Mantui i margrabiowie Gonzagowie przybrali go do herbu i nazwiska, coraz częściej pojawiali się hrabiowie z dyplomów cesarskich. Niechętna była temu szlachta, więc sejm w r. 1638 zakazał tytułów, prócz tych, które w unji przyjęto, a konstytucja w r. 1673 obłożyła infamią wszystkich, którzyby o cudzoziemskich hrabstwach i księstwach myśleli. Za Augusta II. jednak mnożą się tytuły bez wielkiej opozycji, z tej epoki pochodzą książęta Lubomirscy, Jabłonowscy, Sułkowscy, hrabiowie Tarłowie, Bielińscy, Brühl i t. d. Za Stanisława Augusta bracia królewscy otrzymali legalnie, bo od sejmu tytuł książęcy, ale ten prejudykat pozwolił potem nadać takież tytuł i Ponińskiemu, moskiewskiemu narzędziu.

Na tak wielkie państwo, jakim była Polska, liczba rodów tytułowanych prawnie czy bezprawnie, była bardzo nieznaczną. wynagradzano sobie jednak tytułami urzędowymi godności przeważnie fikcyjnych.

Przed wiekami, gdy w Polsce rządziło kilku książąt dzielnicami, każdy z nich miał swego stolnika, cześnika, miecznika, chorążego i t. d. po zjednoczeniu dzielnic, nietylko dawne dzielnice, ale i nowo potworzone województwa i ziemie miały swych stolników, cześników i t. d.; było więc bez liku mieczników, krajezych, podstolich, skarbników, wojskich, wojszczyków i wojszczanek, podczaszyców, chorążyców, podkomorzyków i t. d. Stanisław August udzielał chętnie tytułu szambelańskiego, mieszczanom konsyljarza.

Mimo teoretycznej równości, urząd i majątek miały większe znaczenie, niż dzisiaj, a temsamem wpływały na utworzenie nierówności. Krzyczano na sejmach i sejmikach na panów, ale służono im poddańczo, wieki XVII. i XVIII. były rządami panów, których wolę wykonywała szlachta przez nich na sejmy i sejmiki wysyłana, żywnona, płacona. Szlachcie na zagrodzie, mieniący się przysłowiowo równym wojewodzie, czapkował mu uniżenie i nie szczenił przymiotnikowych tytułów Jaśnie Oświeconego i Jaśnie Wielmożnego.

Zaślubiny lub pogrzeb magnata wywoływały mowy i drukowane panegiryki prze-

sadne i służalcze, a w XVII. i XVIII. w. pisała je szlachta i duchowni o poważnych nazwiskach i godnościach, wychodziły wielotomowe dzieła z wzorami takich mów weselnych i pogrzebowych, które dziś można czytać jako humorystyczne.

Z dawnego rzeczywistego szacunku dla dostojników kościoła i państwa i dla ich urzędów przyjęła się zwyczajowo pewna nomenklatura, schodząca szczeblami do niższych urzędów. Z dawnego wyrażenia Wasza Miłość wyrobił się skrótowy w przeciętnych sferach szlacheckich, a potem i mieszczańskich Waszmość i poufały Waść, w trzeciej osobie jegomość, skrótowy na imię, w aktach urzędowych nigdy nie pominięto określenia stanowego nobilis o szlachcicu, famatus sławetny przy mieszczaninie, laboriosus pracowity przy chłopie, infidelis niewierny przy żydzie. (Wyrażenie niewierny nie miało znaczenia pogardliwego, lecz było określeniem stanu. Woźny stale był tytułowany „przezorny“).

Od czasu utraty politycznego bytu państwowego aż do ponownego odrodzenia się państwa polskiego w r. 1918, duch demokratyczny spotęźniał, zaraz więc w samym początku nowego bytowania stworzenie

prawdziwej demokratycznej tytulatury stało się aktualne, a że początki zawsze są trudne, więc nie obeszło się bez wahań i różnorodności...

Urzędowy „Monitor“ z 18 listopada 1918 Nr. 206 ogłasza pismo Naczelnika Państwa: „Do o b y w a t e l a Jędrzeja Moraczewskiego w Warszawie. Mianuję W a s Obywatelu, Prezydentem ministrów“. Następny nr. 207 przynosi pismo Naczelnika: „Do P a n a Stanisława Thugutta, w miejscu. Mianuję P a n a Ministrem spraw wewnętrznych“. Potem dano sobie pokój z „obywatelem“ i z „wami“, a został „pan“, ale bez żadnego przymiotnika. Jest to już rzeczą prywatnej inwencji przemawiającego lub piszącego, czy chce nazwać ministra wielmożnym czy czeigodnym, szanownym lub dostojnym. Tylko za granicami Polski minister i poseł polski tytułowany jest ekscellencją.

W Dzienniku Ustaw Rzptej Pol. powtarza się często wyrażenie: „minister jest władny“... (w znaczeniu: minister jest uprawniony, może coś zrobić np. rozłożyć należność na raty), możnaby więc skonstruować dla ministra tytuł: władny lub wielowładny.

W życiu codziennem pozostał tytuł pan, z dodatkiem wskazującym urząd lub god-

ność, np. pan dyrektor, pan komisarz. W sferach urzędowych niechęć do tytułów tak wzrosła, że w sądach nie dopuszczono tytułów sekretarzy, radców, lecz hurtownie nadano wszystkim tytuł „sędziów“, tak, że „sędzią“ tytułuje się i sędziego tak zwanego „pyskowego“ (orzekającego o obrazach honoru i bitkach), jak i członka Sądu Najwyższego. (W konsekwencji należało znieść i tytuły pułkowników, generałów i t. p., lecz każdy z nich powinien się nazywać tylko oficer, z dodatkiem: kompanijny, pułkowy i t. p. Bardzo demokratycznie brzmiałby prezes korpusu, naczelnik dywizji, kurator artylerji, wizytator intendantury, dyrektor sztabu i t. d.).

Konstytucja z 17 marca 1921 orzekła urzędowo w art. 96, że: „Wszyscy obywatele są równi wobec prawa. Rzpta Polska nie uznaje przywilejów rodowych, ani stanowych, jak również żadnych herbów*), tytułów rodowych i innych, z wyjątkiem naukowych, urzędowych i zawodowych. Obywatelowi Rzptej nie wolno przyjmować

*) Nawet herbu Rzpltej, bo na każdej monecie i na każdym banknocie jest orzeł coraz inaczej zniekształcony.

bez zezwolenia Prezydenta Rzptej tytułów, ani orderów cudzoziemskich“, można więc otrzymać np. od króla hiszpańskiego tytuł hrabiego, i za zezwoleniem Prezydenta używać go w Rzptej, nie wolno zaś używać odziedziczonego polskiego tytułu...

Wróciliśmy więc do demokratycznych tradycji XVI. wieku, że nie uznajemy własnych tytułów, ale tolerujemy obce.

Konstytucja nie zniosła, ani nie zakazała tytułów, lecz jedynie „nie uznaje“ ich, to znaczy, że tytuły nie mają opieki prawnej, czyli władza nie wkracza, gdy kto przybiera sobie tytuł, każdy więc może sobie go na bilecie wizytowym swobodnie wydrukować. Heroldja nie wpisuje już nowych tytułów, tylko ma charakter archiwum heraldycznego.

Zdawałoby się, że kwestja tytułowania została rozwiązana i zakończona. Tak jednak nie jest. Cywilizowane pożycie, stykanie się z ludźmi sławy lub zasługi albo wysokiego urzędu, zmusza w piśmie i w mowie do dania wyrazu szacunku i uznania czyli do tytułowania, tembardziej, że w społeczeństwie tkwi chęć podwyższenia się, ambicja znaczenia. Doświadczenie codzienne pokazuje tak tę ambicję, jak i drażliwość na

nieotrzymanie jakiegoś tytułu od drugiego, w czym się upatruje lekceważenie. Demokracyczni stróże lubią być nazywanymi dozorcami lub portjerami, woźni wnieśli urzędowe petycje o tytułowanie ich „skontystami“, służba miejska nazwała się „niższymi funkcjonarjuszami“. Każdy chętnie dźwiga lub dźwigałby jakiś tytuł.

Przytaczam autentyczny fakt z rozprawy sądowej:

Sędzia dyktuje do protokołu: Świadek Józef Iks, lat 20, religji rzymsko-katolickiej, stanu wolnego... pańskie zajęcie?

— Artysta dramatyczny.

— (Do protokolanta): Artysta dramatyczny... Ma pan w Krakowie engagement?

— Dotąd nie występowałem na scenie.

— No, więc jakimże pan artystą?

— Zdałem egzamin aktorski w krakowskiej Szkole dramatycznej przed siedmiu laty.

— Cóż pan robił przez te lata?

— Byłem instruktorem artylerji.

— Instruktorem? Artylerji? Co to za ranga?

— Ranga szeregowca. ale odbywałem kurs instrukcji artylerji..

— Ale pan już nie służy w wojsku?

— Nie, od pięciu lat pomagam szwagrowi.

— A czem jest szwagier?

— Technikiem dentystą.

Sędzia do protokolanta: Przekreśl pan tego artystę dramatycznego, a napisz: pomocnik dentystyczny... Będiesz Pan zeznawał szczerą prawdę w sprawie mieszkaniowej i t. d.

Ambicja zdobycia pewnego znaczenia jest dodatnią, ale chęć podwyższania się nazwą jest śmieszna. Każdy aktor nazywa się dziś artystą dramatycznym, choć śpiewa kuplety operetkowe i tańczy po scenie, byle malarz lub rzeźbiarz dodaje: artysta, nauczyciel szkoły średniej domaga się tytułu profesora, jakby był na uniwersyteckiej katedrze. A czcigodny ten tytuł upadł może najbardziej, bo obok profesorów wolnej wszechnicy mamy profesorów grafologii, wyższej magji, tańca, buchalterji, kaligrafji i t. d., czemu odpowiada godnie akademja tańca rytmicznego, dentystyczna, handlowa, kollegjum sędziów piłki nożnej. Owocem tego podwyższania się jest powszechnie używany absurd: urzędnik prywatny! Urzędnikiem jest ten, kto sprawuje funk-

cje urzędowe, np. pracuje w urzędach administracyjnych, skarbowych, w sądzie, — nie jest więc urzędnikiem funkcjonarjusz kolei, monopolu tytoniu, soli lub spirytusu. Buchalter, kasjer, kierownik fabryki są funkcjonarjuszami pewnych instytucji lub osób, a nie urzędnikami. Wyrażenie: urzędnik prywatny jest tak niedorzeczne, jak gdyby ktoś mówił: żołnierz prywatny. (W gwarze krakowskiej nazywają „huzarami Wolnego“ mundurową służbę przedsiębiorcy pogrzebowego, z których jeden tak swym wyglądem zaimponował pruskiemu oficerowi w r. 1916, że oficer służyłście salutował „huzara“).

Ta chęć, aby mimo równości demokratycznej przecieź się wyróżnić od tłumu, widoczną jest także z obwieszania piersi rozmaitemi **prywatnemi** odznakami „oswobodzicieli“, „powstańców“, „obrońców“ i t. d.

III.

KANDYDACI POSELSCY.

Gdyby na potrzebnych(?) nam do Sejmu i Senatu 555 mężów zaproszono najlepiej kwalifikowanych, to większość ich odmówiłaby przyjęcia mandatu, powołując się, że porzucenie zawodu i ogniska domowego na dłuższy czas jest dla nich niemożliwe, zaledwie drobna część, zamieszkała w stolicy lub niedaleko od niej, przyjęłaby mandat. Społeczeństwo musi się więc posługiwać surogatami i zdobywać posłów i senatorów z grona niekwalifikowanych wprowadzie, ale „gotowych do usług państwa“ obywateli (t. j. spodziewających się kariery lub poprawy swych interesów, oraz biletu gratisowej jazdy kolejami, diet i bezkarności).

Takich chętnych do posłowania obywateli nie brak w żadnej sferze i na 555 miejsc kandyduje parę tysięcy.

Sposoby kandydowania inne są w mieście, a inne na wsi.

Kandydat wiejski ma ciężką pracę i duże wydatki, bo musi wędrować na zgromadzenia i wiece, a że sam Herkules nie podołałby obejść kilkuset wsi i wszędzie głosić swój zapał do pracy dla dobra ziomków, a często gęsto dostać kijem od zwolenników. t. j. naganiaczy przeciwkandydata, przeto musi tworzyć po wsiach „komitety“. t. j. utrzymywać agitatora biegłego w gębie i paru naganiaczy, którzy w zastępstwie kandydata urządzają zgromadzenia przedwyborcze. Że to dużo kosztuje, więc kandydat wpisuje się do jakiejś partji, oczywiście demokratycznej, a gdy uzyska za odpowiednią wkładką aprobatę, partja subwencjonuje agitatorów.

W miastach natomiast musi się na długo przed wyborami przygotowywać grunt, t. j. nasamprzód kandydować na kandydata, a wobec mnogości ambicji kandydowanie to odbywa się ciągle. Więc przedewszystkiem taki abiturjent kandydacki uczęszcza pilnie na wszelkie zgromadzenia i zabiera głos dla zaznaczenia, że osoba jego, dotąd nieznana, istnieje jednak i troszczy się o dobro publiczne. Następnie wstępuje do jakiej partji „demokratycznej“ i tam rozwija swych myśli przedzę. Bardzo pożytecznem jest dla

takiego abiturjenta urządzenie nabożeństw patriotycznych, wieczorków, czyli, jak teraz się mówi: akademij, a zwłaszcza pochodów do jakiegoś pomnika, pod którym wygłasza się mowy. Bardzo praktycznem do „spopularyzowania“ pewnego nazwiska okazało się tworzenie komitetów dla postawienia jakiego pomnika, dla położenia niedrogiej płyty „nieznanemu żołnierzowi“ lub dla zafundowania sztandaru. W ten sposób obywatele, słysząc często nazwisko takiego pracownika społecznego i politycznego, wbijają je sobie w pamięć jako męża publicznego. powołanego do wielkich zadań w przyszłości i abiturjent powoli staje się kandydatem na najbliższe wybory. Jeżeli ma jakątą biegłość w piśmie, to bardzo pożytecznem jest (dla niego) ogłaszanie w tym i owym dzienniku artykułów o rozmaitych pożądanym reformach.

Czarną chwilą dla kandydatów jest okres przedwyborczy. W ścisku kandydatów trzeba dostać numer, t. j. dostać się „na listę“, a w dodatku na pierwsze miejsce, bo drugie bardzo już niepewne, a na trzeciem trzeba czekać śmierci poprzednika lub jego zrzeczenia się, na które to zdarzenia przykro reflektować.

Czasem kilkoletnie kandydowanie na kandydata zawodzi w ostatniej chwili. Wtedy odbywają się konwentykle od rana do nocy, powstają secesje i protesty w partiach i komitetach, powstają nowe gazety, krążą listy otwarte i odpowiedzi na nie, odezwy, dobywa się ze słownika rysztyckiego najordynarniejszych epitetów. Domy i parkany pokrywają się afiszami wyborczy-
mi. W tem stadjum wskazany jest dla kandydata ostatni strzał: odezwa do współobywateli i współobywatelek. W odezwie takiej należy oświadczyć, iż kandydat nie chciał wcale ubiegać się o mandat, lecz jedynie namowy przyjaciół politycznych i obowiązek służenia krajowi zmusiły go do tego. Na niegodne napaści przeciwników, zarzucających mu brak egzaminów. wytykających przejście z jednej partji do drugiej i trzeciej, przytaczających błędy z czasów niedoświadczonej młodości, ma tylko jedną odpowiedź — pogardę. Gdyby kandydatowi wydarto z piersi serce i rozkrojono, to znalazłoby w niem jedno tylko słowo: ojczyzna! Tu kandydat przyrzeknie poparcie przemysłowi, handlowi, rolnictwu etc., nakreśli nowe koleje żelazne, kanały, flotę, tania mieszkania i t. d. (przyczem nie potrze-

buje się liczyć z koniecznemi na to miljonami, bo on i grosza na to nie da).

Obywatele olśnieni czekają na listę z numerem, fabrykowaną w najciaśniejszych komitetach i wreszcie otrzymują kilka list, a na każdej parę nazwisk nieznanym lub odpychających!

Kandydat powinien mieć tupet i wielką odporność, pożądane są silne pięści i gruba laska, ale przede wszystkim fundusz wyborczy na „koszta“ agitatorów, rozbijaczy zgromadzeń, wyjazdy, strawne i druki. Urzędnikowi daje państwo wspaniałomyślnie urlop na czas przedwyborczy.

Niegdyś pewien kandydat w Krotonie pytał **Pytagorasa**, co ma uczynić, aby piastować godność publiczną; na to mu tenże odpowiedział: „Stań się mądrym — ale może nie będziesz pożądać tego stanowiska. skoro się staniesz mądrym!”



IV.

PRZYMUSOWE USZCZĘSLIWIECIE.

Jak daleko wstecz sięgają wiadomości historyczne, zawsze znajdowali się dobrzy ludzie, pragnący uszczęśliwić drugich. — Oprócz twórców różnych religij i prawodawców, głosili myśliciele teoretyczni i ambitni kandydaci do władzy różne pomysły, mające uszczęśliwić współobywateli; i tym często udawało się doprowadzić różne wywroty, które uszczęśliwiły ich władzą lub majątkiem, choć większość zwykle nie czuła się wcale szczęśliwą, płacąc drogo krwią i mieniem, za tę zmianę..

Mało jest takich apostołów, którzyby tylko słowem i wpływem moralnym działali. Doświadczenie pokazało, że to droga powolna i daleka — miłośnicy bliźnich wpadli więc na pomysł **przymusowego uszczęśliwiania** ich. Pomysł ten oparł się na przykładzie rządów, które w interesie uzyskania środków utrzymania państwa

nakładały przymus do świadczeń, „uszcześliwiających“ mieszkańców, jak: służba wojskowa, podatki, kwatery, rekwizycje i t. d. Z tych przykładów wysnuto zupełnie logicznie wniosek, że skoro państwo ma prawo przymuszać do bardzo nieraz nieprzyjemnych świadczeń, to ma prawo, a nawet obowiązek odwzajemniać się obywatelom i narzucić im hojną dłoń szczęście i pomyślność. Każda epoka historii przynosiła do tego nowe pomysły. Wszelkie wywroty, pociągające śmierć tysięcy ludzi i ruinę społeczeństw, prowadzono pod hasłem uszcześliwienia ludności, to wojny religijne, to wojny różnych panujących dla powiększenia terytorjum i uszcześliwienia nowych poddanych, to rewolucje, w imię różnych haseł, a wszystkie te śmiertelne uszcześliwienia wychodziły nie z woli tych, którzy mieli być uszcześliwionymi, lecz z agitacji jednostek, pragnących uszcześliwić bliźnich, a przede wszystkim siebie władzą, znaczeniem, majątkiem.

Obietnica lepszej przyszłości będzie zawsze ponętnem hasłem; powoduje to licytację agitatorów między sobą, bo im kto więcej obiecuje, tem może się spodziewać większego odgłosu i wpływu, a żaden agi-

tator nie potrzebuje przecież składać wadium przy tej licytacji. I zawsze znajdują zacnych prostaczków, którzy pomagają, aby uszczęśliwić jakąś reformą tych, którzy wcale nie odczuwają jej potrzeby i z których wielu padnie potem ich ofiarą.

Obywatele polscy zostali więc uszczęśliwieni obowiązkiem szczepienia, kasami chorych i od wypadków, zakazem pracowania nad 8 godzin dziennie, a przede wszystkim prawem oddania co parę lat kartki z numerem, mieszczącym nieznaną ogółowi nazwiska osób, pragnących w roli posła uszczęśliwić rodaków. Nie umiejący pisać ni czytać doznają „szczęścia“ głosowania według systemu Dr. Hondta, t. j. oddania kartki z numerem podsuniętym. System list i system Dr. Hondta nie są jednak ostatnim wyrazem utrudniania rozsądnego wyboru, możeby więc uszczęśliwiacze Polski zastanowili się nad jeszcze zawilszym procederem, do czego mógłaby im posłużyć dawna ordynacja wyboreza Wenecji, która urządziła wybory następująco: „Gdy wszyscy ze szlachty¹⁾, którzy skończyli 30 lat, ze-

1) Oczywiście teraz zamiast szlachty byłiby wszyscy obywatele.

brani są w pałacu św. Marka, wkłada się do urny tyle galek, ilu jest obecnych szlachty, a 30 galek jest złoconych. Ci, którym te gałki los przeznaczy, kładą przed Signorią 9 galek złoconych między 24 białych, a 9 szlachty, którzy je wyciągną, są wyborcami 40 innych, każdy z innej rodziny. Los zmniejsza ich liczbę na 12. Tych 12 wybiera dwudziestu pięciu, pierwszy trzech, a z 12 innych każdy po dwóch, liczba tych 25 maleje przez los do 9, którzy wybierają 45, to jest każdy po pięciu. Z tych 45 los wybiera 11, a ci wybierają wreszcie czterdziestu jeden, którzy są ostatnimi i głównymi wyborcami dożv. po zatwierdzeniu ich przez Radę wielką“.

Jest u nas w programie uszczęśliwienie ludności przez wprowadzenie **czynnika ludowego do sądów**. Jak zaś obywatele zadowoleni są z dotychczasowego udziału „czynnika ludowego“ w sądownictwie — dowodzi praktyka sądów przysięgłych.

Po doręczeniu wezwań 48 wylosowanym sędziom na drugi dzień wpływa do sądu 48 podań tychże o zwolnienie ich od obowiązku z powodu choroby, wyjazdu, interesów i t. d. Gdy nareszcie przybędą przysięgli na rozprawę, rozpoczyna się inna

scena: jedna połowa przysięgłych błaga prokuratora, aby ich wyłączył od rozprawy, a druga prosi o to samo obrońcę! Po wylosowaniu i wyłączeniu zasiadają wreszcie nieszczęśliwi nie wyłączeni na ławie przysięgłych. Gdyby jeszcze powołano „lud“ do sądów cywilnych **po kilkunastu ławników codziennie**, w siedzibie **każdego sądu**, to dopiero stałoby się to „rajem“ dla obywateli — nie do wytrzymania.

Dawne absolutne rządy były dokuczliwe, stąd nienawidzono urzędników, jako organy absolutyzmu, zaborczych rządów, stąd wszędzie nurtowały tendencje „liberalne“, t. j. dążenie do usunięcia ograniczenia władzy urzędników, zagwarantowania praw obywatelskich, tworzono teorię nowego systemu rządu, rodziły się pragnienia wspólne i konspiracje, których objawem były ruchy rewolucyjne 1848 roku.

Doświadczenie okazało, że obciążanie obywateli obowiązkami urzędowymi jest to ciężar zbyt ciężki — mamy własnych zaprzysiężonych urzędników Polaków, nie potrzebujemy się obawiać wpływu absolutyzmu na nich, czas więc usunąć ciężar dawniej pożądanym, dziś zbyt ciężki i nieznośny. Pragnący „czynnika ludowego“ jeszcze w są-

dach cywilnych, chcą wladować nowe brzemie na dobrze już przez państwo obciążone barki obywateli. W Niemczech zniesiono już sądy przysięgłych. Większość ludności jest zdania, że na to płaci podatki, aby państwo mogło mieć wyszkolonych i zaprzysiężonych urzędników do sądzenia w imieniu ludu.

W dodatku „czynnik ludowy“ dawniej bezpłatny, zażądał wynagrodzenia, płaci się więc przysięgłym i ławnikom w sądzie przemyślowym, — płaciłoby się więc i tym ławnikom, którychby jeszcze do sądownictwa pociągnięto!

Jeżeli już mają być sądy ludowe, to możeby wrócić do prastarych, demokratycznych obyczajów: w pewnych miejscowościach będą gaje sądowe, a w środku pod dębem zasiędzie sędzia legitymujący się pierścieniem Prezydenta Rzeczypospolitej, z 12 lub 24 mężami wybranymi bezpośrednio, tajnie i proporcjonalnie, do których zwracać się będą skarżący o dolary, franki, funty za dostawy lub szkody, banki z weksłami i czekami, lokatorzy uciekający przed uciskiem kamieniczników, kupujący mieszkania od lokatorów, o wpuszczenie do mieszkania i t. d. Oczywiście w zimie na-

stępowwałyby ferje sądowe, aż do zakwit-
nięcia gaju sądowego.

Bolszewia jest przykładem, do czego
doprowadzić może przymusowe uszczęśli-
wianie — jakże ludność byłaby szczęśliwą,
gdyby jej szczęścia nie narzucano!

V.

WYBRAŃCY NARODU.

Dowcipny lub satyryczny nieobrażający argument, grzeczną naganą w formie przenośni, zaczepienie przeciwnika delikatnem ośmieszeniem jego wywodów, alegoryczne wytknięcie błędów, wysłownienie mocno potępiające w wykwintnej formie — nazywano ongi „wyrażeniami parlamentarnemi“. kiedy to jeszcze rozum, zdolności, fachowe wykształcenie, wzgląd na dobro ogólne i dobre wychowanie były podstawą dyskusji o sprawach publicznych.

Niestety od pół wieku zmieniły się wszędzie owe zwyczaje. Parlamenti stały się dostępne ordynarnym wyzwiskom, kłótniom, hałasom, obstrukcjom, a nawet bitkom... upadły parlamenti czy parlamentarjusze. Ludność płaci posłom wysokie wynagrodzenie za „pracę“, jakiej od nich się spodziewa, tymczasem jedna część posłów jeździ (u nas za darmowemi biletami) po kraju,

odbywając tam różne niby zgromadzenia, kończące się sianiem niezgody, a często także bitkami, inna część przewleka dyskusje sejmowe, a inna jest nieobecna, lub siedzi cicho, nie mając nic do powiedzenia. Zamiast dyskusji zapanowało gadulstwo, niesforność i swawola.

Jest wprowadzie w sejmie poseł Bon i poseł Thon, ale nie istnieje „bon ton“, jest poseł Rozumek, ale nie widać jego śladów. Jest Sanojca, nie Seneca, i Waleron, któremu daleko do owego Walerjusza, który kazał obniżać dzidy przed zgromadzeniami ludowemi na znak pokłonu i orzekł karę śmierci na tego, ktoby bez wyboru ludowego poważył się sięgać po urząd (lex Valeria)...

Sprawozdania z posiedzeń przynoszą prawie codziennie kwiatki tonu sejmowego. Przytaczam pierwszy, jaki mi wpadł pod rękę: poseł Socha nazwał p. Zdziechowskiego ministrem złodziei, a gdy marszałek go za to upomniał, „stronnictwo chłopskie zsolidaryzowało się z tym obelżywym okrzykiem“. Na tem samem posiedzeniu, gdy tenże poseł wymienił nazwisko posła Erdmana, jakoby zamieszanego w jakąś aferę leśną, poseł Erdman zawołał: Panie, pan

bezczelnie kłamie! I powtórzył dwukrotnie te słowa.

Marszałek: Przywołuję pana po raz drugi do porządku.

Poseł Socha: Motyw, którym kierowałem się, nie był podyktowany czem innym, jak tylko sanacją moralności publicznej.

Poseł Petrycki: Zacznij pan od siebie, od Bryła!

Poseł Bryl: Wy jesteście złodzieje!

Marszałek wzywa posła Bryła do porządku.

Poseł Wierczak: Bandyta pospolity!

Marszałek przywołuje posła Wierczaka do porządku.

Gdy poseł Sochacki (komunista) napadł na PPS., z ław tego klubu poczęły padać okrzyki:

— Szpicel! Szpiegowałeś pan PPS., biorąc od niej pieniądze! Judasz!

Marszałek znowu musiał interwenjować etc. etc.

Już czytając listę członków sejmu, można po nazwiskach nabrać wyobrażenia, jakie sfery i ilu dostarczyły posłów, oraz czego spodziewać się można po nich i po rządzie wybranym za ich wpływem! Mamy więc w centralnych urzędach malarzy, rzeźbia-

rza, muzyka, aptekarza, buchalterów, handlowców, inżynierów, fryzjera, magazyniera kolejowego i nieco prawników, oraz osoby z domowem wykształceniem lub ze szkołą średnią, otrzymujące veniam studiorum! Spostrzegam ubolewania godny brak aktorów i szoferów. Cały mikrokosm demokratycznego państwa.

Z listy posłów musimy wnosić, że marszałek sejmu musi mieć dużo kłopotów, bo jest kilku posłów à la Domeyko i Doweyko, jak Dębski i Dąbski, Reder i Reger, Sacha i Socha, Pawlak i Pawlik, a „Domeyki i Doweyki wszystkie przeciwieństwa pochodziły, rzecz dziwna, z nazwisk podobieństwa“.

Wielu też mamy posłów o jednakiem nazwisku: po dwóch Ostrowskich, Wierzbickich, Kozickich, Nowickich i t. d. Co do tej grupy posłów jednonazwiskowych, to stanowczo możnaby ich część zredukować, bo jeżeli Zygmunt Nowicki, wyzwoleniec, głosuje biało, to Albin Nowicki, jako chadek, głosuje czarno — podobnie znoszą się wzajemnie głosy Chądzyńskich, bo jeden endeck, drugi enpeer, — Dąbrowskich (jeden lud., drugi chrz. lud.), z Kozickich (jeden endeck, drugi ukraińiec) i t. d. Piotrowskich jest trzech: wyzwoleniec, chadek i socjalista.

Każdy prawie większy klub ma do ozdoby pięć piękną! Endeki pp. Wandę Ladę i Irenę Puzyrę, chadeki p. Halinę Stęślicką, a żydzi p. Różę Melzer.

Nasz demokratyzm pozwala nawet na to, że uznaje pseudonim poselski: Pierwej używali pseudonimów tylko literaci i aktorzy, teraz także poseł p. Chałupka używa pseudonimu „Kwapiński“.

Pewna część posłów nie lubi dusznej atmosfery stolicy i prawie stale wyjeżdża na gościnne występy na wieś i do małych miasteczek, — niestety często potem czytamy w dziennikach, że ten lub ów poseł (zwykle z partyj chłopskich) został na wiecu poselskim obity, — z czego wynika, że należałoby ubezpieczyć posłów od wypadków oraz przyznać im ekstradiety za podróżowanie, a premję za obicie.

Rządzenie państwem za pomocą zbyt licznego aparatu poselskiego okazało się wszędzie zbyt kosztownem a nieproduktywnem. Żaden parlament nie stworzył żadnego wielkiego dzieła kodyfikacyjnego, — te były zawsze owocem pracy nielicznych komisyj. W kilkaset ludzi rozmaitego wykształcenia i różnej uczciwości nie podobna nie ma-

drego uradzić, zawsze jakieś kompromisy, ustępstwa i odstęstwa od zasad.

Nasi posłowie pobierają pensje na miliony z biednego skarbu. Wbrew demokratycznej zasadzie równości używają jakiegoś przywileju bezkarności, a poszkodowany, równy im demokrata, nie może ich ścigać sądownie! Czas rozsądnie pomyśleć o reformie takiego parlamentaryzmu bezpłodnego, a kosztownego.

VI.

MINISTER, EKSMINISTER I WICE-MINISTER.

Sunt quaedam bestiolae, quae unum tantum diem vivunt.

Są stworzenia, które tylko jeden dzień żyją.

Plinius.

Do najpiękniejszych owadów naszych należy jętką (Ephemera), zgrabna, długa, wcięta w pasie, ma cztery skrzydła trójkątne, przednie o wiele większe, przezroczyste, barwami tęczy się mieniające. Jętką unosi się przez parę dni letnich gromadnie nad wodami, błyszczy kolorami w słońcu, bawi oko przechodnia, — niestety byt jej jest bardzo krótki — po krótkim jednodziennym pożyciu z wyszukaną nad wodą małżonką, ginie bezwarunkowo!

Jętkę można uważać za obraz ministra w przyrodzie, bo błyszczy, zachwyca tylko bardzo krótko i ginie. Minister przyjmując tękę także wie, że wkrótce zginie, ale jak

jętki zawsze się rodzą, tak zawsze rodzą się i kandydaci na ministrów, a obawa rychłego końca wcale ich nie odstrasza — zawsze będą przez chwilę błyszczeć... Pierwszym krokiem nowego ministra jest wyjazd do tego powiatu, z którego pochodzi, z wizytacją, aby zabłyszczeć przed krajanami: Patrzenie! byłem adwokatem... inżynierem, dziś jestem ministrem: wagon salonowy, lub samochód, sekretarz, powitanie przez wojewodę, starostę, generała, burmistrza, ba! czasem i brama triumfalna! Jeżeli minister był urzędnikiem, to pierwszy reskrypt idzie do tego urzędu, z którego wyszedł, aby koledzy wiedzieli, że wyszedł na człowieka! W Anglii musi minister zafundować sobie frak ministerjalny i kapelusz stosowany, pończochy i trzewiki ze spinkami. U nas wystarcza cylinder. Niestety Parki nie przestają pracować. Inni kandydaci także chcieliby zabłysnąć barwami ministra, opozycja pracuje od chwili jego nominacji nad jego zwaleniem. Trzy czwarte tych, co mu gratulują teki, rozmyśla w duchu, jakby go utraćć. Pierwsze miodowe chwile ministerjalne popieprzą mu gazety opozycyjne (życie parlamentarne zamartłoby przecież

bez opozycji!) docinkami i insynuacjami. Jeżeli minister trafi szczęśliwie na czas feryj sejmowych, to przetrwa przynajmniej parę miesięcy, ale ponieważ pracowity sejm tylko latem dłużej pozbawia obywateli obrazu niezgody, interpelacyj i wotów nieufności — przeto zazwyczaj Parki przecinają niebawem nitkę żywota ministerjalnego i minister pada jak jętka.

I rozpoczyna oto nowy żywot zagrobowy eksministra. Jeżeli był ministrem minorum gentium, to odrazu idzie w niepa mięć i nikt się o niego nie troszczy. Wraca do kancelarji geometry, czy adwokackiej, pisze skargi do sądu i podania do urzędów ziemskich, albo wraca do swego urzędu, gdzie go czasem tytułują panem ministrem. Jeżeli zaś w epoce przedministerjalnej zna czył coś w społeczeństwie, to — honores mutant mores — nabywa uroczystej godności w zetknięciu się ze współobywatelami, rzadko się uśmiecha, mówi ogólnikowo i zagadkowo, zawsze: „według moich informacji“ — zapraszany jest na rauty miejskie, akademje i na nabożeństwa. podczas których siedzi w pierwszym rzędzie, a po pogrzebach czyta się w kronice gazet, że w żałobnym obrzędzie wzięli udział ci

i owi oraz „b. minister“ p. X. (w cylindrze). Lecz wielką to jest pociechą eksministrów, że w jakiś czas dostają na 3 maja order Polonia restituta.

Ponieważ od utworzenia państwa mieliśmy już 260 ministrów — przeto mamy w inwentarzu pokaźny zastęp eksministrów, tak, że każdy bankiet, Mszę polową, lub pogrzeb okazalszy możemy udekorować obecnością „b. ministra“. Wobec takiej liczebności mogliby pp. eksministrowie założyć własny konsum.

Wśród tego grona eksministrów najwięcej jest „inżynierów“, a jest także eksmalarz pokojowy, paru eksstudentów politechniki bez egzaminów, kilku prawników, trzech rolników-włóścian (Witos, Wójcik, Wojda), b. właściciel pensjonatu, buchalter i t. p. luminarze, którzy jakiś czas sterowali nawą państwową.

Wiceminister, idący w odставку, zyskuje o tyle, że wszyscy znajomi i interesowani tytułują go „ministrem“, czyli awansuje ex post z woli ludu.

VII.

WYŻSZOŚĆ NASZEJ KONSTYTUCJI.

Europa wyprzedziła dużo Amerykę w demokracji... Konstytucja Stanów Zjednoczonych północnej Ameryki (U. S. A.) pochodzi z końca XVIII wieku ze zmianami z początku XIX wieku; wszystkie konstytucje europejskie są późniejsze i zaspakajają daleko więcej apetytów demokratycznych. Wprowadzają przedewszystkiem bardzo wielką liczbę posłów, przez co dają szerszym masom możność kandydowania i zyskania intratnego stanowiska. Olbrzymie Stany Zjednoczone mają tylko około 400 posłów (w miarę wzrostu ludności co dwa lata wybieranych) i 92 senatorów (po dwóch z każdego Stanu), a w dodatku żaden urzędnik nie może być ani posłem, ani senatorem, żaden poseł zaś ani senator nie może przyjmować urzędu, ani zostać ministrem. Zacołfani Amerykanie nie kompilowali konstytucyj europejskich, lecz spisali sobie taką, która odpowiada potrze-

bom kraju. Nasi demokratyczni posłowie czuliby się tam nieszczęśliwymi; ani suwerenności i bezkarności poselskiej, ani możliwości kandydowania na ministra, ani nawet do komisyj, bo te nie są wybierane „według klucza“, tylko przewodniczący mianuje je w izbie reprezentantów, a w senacie prezydent. Izbie posłów nie wolno zajmować się sprawami zagranicznymi, z wyjątkiem wypowiedzenia wojny; to należy tylko do senatu. Państwo Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej jest strasznie skąpe, ma tylko siedmiu ministrów, którym nie wolno bywać na posiedzeniach, a mogą porozumiewać się z izbą posłów i senatem tylko pisemnie — którzy nie potrzebują słuchać mów poselskich, ani odpowiadać na nie. Mianuje ich prezydent za zgodą senatu, ale dymisję może każdemu z nich dać bez pytania senatu. Kongres może żądać od ministra pisemnego usprawiedliwienia postępowania, może uchwalić nawet naganę, ale rząd może się z tem nie liczyć.

Skutkiem takich zacofanych przepisów nie istnieje tam znana w Europie chroniczna choroba przesilenia ministerjalnego.

Przesilenie w chorobie człowieka kończy się albo śmiercią, albo wyzdrowieniem,

przesilenie ministerjalne zaś kończy się wstrzyknięciem rządowi paru posłów na ministrów, poczem inna część posłów zaraz zaczyna pracować nad wywołaniem nowego przesilenia ministerjalnego. Widocznie więc robienie ministrów z posłów (serum ministerjalne) nie jest skutecznym lekarstwem, choć powszechnie stosowanym, pełno więc jest posłów kandydujących na ministrów, którzy rychło potem znikają.

Kandydowanie na posła w Stanach Zjednoczonych jest bardzo kosztowne, wymagające szalonej reklamy, agitatorów, gazet, plakatów, fotografii, pochodów, muzykantów, przedstawień filmowych, wykrzykiwaczy i t. d. Podobno praktykowane jest nawet kupowanie głosów wyborczych. W Europie można to kandydowanie na szczęście tańszym kosztem opędzić, a tem samem jest poselstwo dostępne szerszym masom demokratycznym i wybór przedstawia więcej korzyści panom posłom. Nie możemy się zgodzić na reakcyjne przykłady Ameryki, aby zamknięto posłom drogę do foteli ministerjalnych, aby nie wybierano płatnych z funduszków publicznych urzędników i aby wyrzucono klucz partyjny! Możemy bardzo lubić dolary U. S. A. ame-

rykańskie, ale nie ich zacofane przepisy konstytucyjne i wolimy głosować na numery list, niż na kwalifikowanych ludzi. Nasza konstytucja uznaje wszystkich za zupełnie wykształconych, inteligentnych wyborców, umiejących należycie ocenić system proporcjonalności Dra Hondta, lubiących inflację posłów. Ale z powodu dewaluacji sejmu, należałoby może pomyśleć o jego waloryzacji.

Zdaje się żaden naród nie nabył takiego doświadczenia w waloryzowaniu, jak Polska. Przeżyliśmy korony, marki i ruble, franki obliczeniowe, wyrównawcze, bony złote, złote po kursie ogłaszanym codzień w Womitorze, waloryzacyjne i t. d., przyzwyczajiliśmy się do operowania cyframi milionowymi i biljonowymi, nauczyliśmy się obliczać w dolarach i frankach szwajcarskich i zapobiegać szkodom na wypadek nowej dewaluacji, a to doświadczenie powinno przymusić do zwaloryzowania sejmu przez usunięcie inflacji małowartościowego materiału poselskiego i zastąpienie go pełnowartościowym.

CZEŚĆ DRUGA.

FRASZKI SPOŁECZNE.

I.

PRZEMYSŁOWIEC.

W pogodną letnią niedzielę, koło południa, gdy już wszystkie ławeczki na plantach zajęli studenci w mundurkach i niańki z dziećmi, gdy tłumy spacerujących przechadzały się tam i z powrotem po alejach plantacyjnych pośród ciągłych wzajemnych ukłonów, salutowań, szturchań, wśród gwaru rozmawiających, wśród szmeru jedwabnych sukni i piór kapeluszy damskich, więcej niż piękne twarze lub kształty, pań zwracał na siebie uwagę mężczyzna około czterdziestoletni, wysoki, przystojny brunet z pięknie wypielegnowanymi wąsami, w jasnym kremowego koloru sportowem ubraniu, w pończochach, żółtych bucikach, w jasnej czapce kształtu używanego do jazdy automobilowej. Szeroką pierś pokryła biała koszula spięta złotemi spinkami, pod

nią letni jedwabny czarny pas z kieszonką, z której spływała szeroka dewizka od zegarka, w jednej ręce laseczka złota z dużą „złotą“ rączką, w drugiej rakowe nowiućienkie rękawiczki — słowem ostatni wyraz nowomodnego szyku.

Widocznie przejezdny, skoro nie wymienia ukłonów, bo gdzieżby w letnim tłumie między swoimi nie spotkać znajomego! Twarz jego wydała mi się znajomą i nie omyliłem się, bo za drugim, czy trzecim spotkaniem, ozwał się elegant:

— Jak się masz? nie poznajesz mię?

— Dalibóg nie mogę sobie przypomnieć!...

— Nie dziwnego? przecież to już ze dwadzieścia lat, jak rozeszliśmy się w siódmej klasie. Jestem Warkowski.

— Ach! to ty! przypominam sobie doskonale. Widzę, że ci się dobrze powodzi.

— Chwała Bogu! — odrzekł Warkowski z zadowoleniem — nieźle, nieźle!

— Cóż ty robiłeś? czem jesteś?

— Ho! ho! co ja robiłem! Dużoby opowiadać. Chodź gdzie zafundować wódki kieliszek przed obiadem, musi być już koło dwunastej? która godzina? Mam wprowadzić chronometr londyński z certyfikatem

obserwatorium astronomicznego w Greenwich za tysiąc szylingów, ale nie biorę go w podróż...

— Pół do dwunastej — odrzekłem — według mego chronometra za 24 koron.

Poszliśmy na przekąskę, a Warkowski zaznajomił mię ze swą biografją:

— Widzisz, ja poszedłem z duchem czasu. Wy kuliście do matury, żeby zostać adwokatami, doktorami, urzędnikami, a ja nie! Powiedziałem sobie: nasz kraj przeważnie rolniczy, potrzebuje przemysłu i w siódmej klasie puściłem gimnazjum w trąbę (w 6-tej dostał dwójkę) i poszedłem do szkoły kadeckiej.

— A cóż to za przemysł — przerwałem.

— Powoli, powoli — to było przejściowe, aż do znalezienia właściwej gałęzi. Postanowiłem rozpatrzeć się pierwej. Potem byłem dyetariuszem w magistracie, a chcąc więcej kraju poznać, wstąpiłem do teatru.. Objechałem z trupą wędrowną pół Galicji i znalazłem posadę przy Towarzystwie zalickowem we Frysztaku. Zająłem się ubocznie pośrednictwem w sprzedaży majątków i parcelacji.. Parcelacja to interes wyborny, ale dla tego, co ma kapitał.. Ja go nie miałem, mogłem działać tylko jako po-

średnik. Jeżdżąc po majątkach do kupienia, czy nie do kupienia, namawiając do sprzedaży, zapoznałem się gruntownie z potrzebami naszego kraju. Potrzebujemy taniego kredytu — to grunt. Musimy sprowadzić kapitał obcy, bo ci, co posiadają kapitał, nie chcą go ryzykować, a ci co nie mają, jak ja, tylko ducha przedsiębiorczości, inicjatywę, energję, ci — nie mają grosza.

— Jakto? — przerwałem — byłoby tak źle z tobą?

-- A! teraz nie! Było tak dawniej, ale wzięwszy się do nafty, stanąłem wreszcie na nogach. Ha! ha! — Warkowski dobył z bocznej kieszeni pięknej swej marynarki, chustkę, scyzoryk, wytarty pulares i gruby w czworo złożony, dobrze zabrudzony i po brzegach odarty manuskrypt, a szereg rozmaitych znaków i cyfr na tym szpargale świadczyło, że był on już kilkanaście razy załącznikiem w rozmaitych aktach procesowych cywilnych i karnych. — Pokazując mi ten historyczny dokument, rzekł:

— Wiesz co to jest? hm? pól mi—li—jo—na! Przejrzyj.

Rozłożywszy manuskrypt zobaczyłem, że mam przed sobą kilkunastu arkuszowy

kontrakt, którego lektura zajęłaby parę godzin czasu, ale Warkowski ułatwił mi ją przez wskazanie miejsc czerwono podkreślonych.

Dowiedziałem się więc, że JWP. baron Gwido von Hunger łącznie z JWP. Popińskim i WP. Nechemiem Tiefbrunnem i WP. Tomaszem Szubrawieckim sprzedali WP. Warkowskiemu swe kopalnie nafty w Kozówce wraz z prawami poszukiwania tej nafty na gruntach realności... (tu następowało ośm stron bitych z liczbami katastralnymi gruntów i owych realności) na zupełną i nieograniczoną własność ze wszystkiem co przynależność kopalni stanowi, nic nie wyjmując ani nie wyłączając, zrzekając się zarzutu pokrzywdzenia nad połowę wartości i zezwalając na zahipotekowanie dla WP. Warkowskiego, wszystkich tych praw w hipotece, skoro tylko hipoteka kiedy założoną będzie, za cenę dwustu złotych, płatną w rok po podpisaniu kontraktu! Spojrzałem na Warkowskiego, a ten wyczytawszy pewne wątpliwości w mem spojrzeniu, dodał:

— Uważasz, dałem — a właściwie mam dać — 200 złotych, a sprzedałem za milion! Co! To interes!

— Mówiłeś o pół miljonie?

— Tak, bo widzisz sprzedałem za milion, ale nabywcy wytoczyli proces o unieważnienie, więc rozwiązaliśmy interes i musiałem zrezygnować... Podpisałem teraz projekt punktów przedugodnych na pół miliona z berlińską firmą i jadę właśnie finalizować! A propos, możebyś mógł pożyczyć mi ze dwadzieścia złotych na drogę — bagatela, my przemysłowcy obracamy wprawdzie krociami, ale obecnie jestem trochę w kłopotcie — przez chwilową stagnację kredytu, pojawiającą się często w przemyśle galicyjskim...

...Wyekspensowałem się na poszukiwanie nafty, jeszcze jej nie znalazłem, ale trafiłem na ślady wody siarczanej... W kopalniach, w przemyśle i kredycie jest nasza przyszłość... nie spuszczam ich z oka, możesz być pewny, jak widzisz z tego kontraktu.

I z powagą włożył Warkowski swój szpargał do kieszeni pięknej marynarki nad sutą dewizką od nieobecnego chwilowo chronometra londyńskiego z certyfikatem obserwatorium astronomicznego w Greenwich za tysiąc szylingów.

II.

KUPIEC.

Wszystkie banki, więksi przemysłowcy, właściciele realności, kupcy otrzymali drukowane reklamy: na czele małemi literami Simon i Leja Fuchs, a pod niemi wielkimi czcionkami: ATLANTYDA.

„Dom handlowy dla importu i eksportu węgla, drzewa budowlanego, masztowego i opałowego. Kantor przy ulicy.... magazyny przy kolei na Zabłociu. Telefon Nr.... Konto P. K. O. Nr... — Skrytka pocztowa Nr... — Największe przedsiębiorstwo krajowe — ceny bez konkurencji“.

W kantorze urzędował zięć Atlantydy, t. j. Simona Fuchsa, a małżonka tegoż pisała na maszynie.

Anonse w dziennikach przypominały Atlantyde co parę tygodni. Raz w rubryce „Nadesłane“ było podziękowanie p. Arona

Goldsteina dla Atlantydy, za rzetelną i punktualną dostawę 50 wagonów węgla. Ten „Dom handlowy“ znany był jako wielka firma we wszystkich bankach i nigdzie nie brakło weksli Atlantydy. Wszędzie mówiono o rzutkości i przedsiębiorczości tej firmy, wróżąc jej wielki rozwój.

Niespodziewanie po trzech latach zaszły nieznane bliżej wypadki, nieznane dotąd w dziejach Atlantydy: wszystkie weksle musiały być zaprotestowane, bo nikt nie przybył po ich wykupno. Listy upominalne wróciła poczta z dopiskiem: kantor zamknięty, adresat wyjechał niewiadomo dokąd.

Wszczął się rumor po bankach, syndycy ich donieśli im po zbadaniu rejestru handlowego, że firma „Simon i Leja Fuchs“ ani „Atlantyda“ nie są znane w rejestrze handlowym. Zbadano na Zabłociu, że „magazyny“ tej „Firmy“ składają się z jednej walącej się szopy z napisem „Simon i Leja Fuchs“, a stróż tejże objaśnił, że od miesiąca nie było Fuchsa, że mu winien za usługę za dwa miesiące, którą wypłaca sobie sam stróż, rozbierając płot otaczający plac, na którym dawniej składano czasem węgle i drzewo. Podobno Fuchs pojechał

do Ameryki, a Fuchsowa mieszka w kamienicy zięcia czy szwagra, ale nie pokazuje się więcej w składzie.

Po urzędowym otwarciu kantoru znaleziono w nim biurko, kanapę, parę stołków, stolik od maszyny do pisania i parę karteczek zapisanych po hebrajsku, stanowiących „księgi handlowe“.

P. Fuchsowa przedłożyła świadectwo doktora Kronberga, że oboje Fuchsowie i ich siedmioro dzieci od wielu lat chorowali, kuracja pochłonęła kilka tysięcy, choroba zaś utrudniła im prowadzenie handlu. Przedłożyła świadectwa dwóch eskonterów, że główną przyczyną bankructwa był Bank Polski i Gospodarstwa Krajowego, odmawiając lekkomyślnie kredytu pp. Fuchsom. Prokuratorja nie chciała jednak wierzyć, żeby 300.000 złotych długów znalazły równowagę w aktywach pp. Fuchsów wynoszących 4.297 złotych 39 gr., oraz, aby choroba i Bank Polski były przyczyną fałszowania weksli, a dopatrywała się pewnego związku konkursu z nabyciem kilku kamieni przez szwagra i zięcia pp. Fuchsów, gdy zaś p. Fuchs „wyjechał“ do Ameryki, oskarżyła p. Fuchscwą o oszustwo.

P. Fuchsowa, tęga, rumiana, kwitnąca dama w jedwabnej sukni z cennymi koleżkami, broszą, branzoletami na rękach udała się do renomowanego adwokata Dra Heitzesa, który po zbadaniu sprawy dał jej dyrektywę, aby się broniła tem, że ona nie wie o interesie, ona była chora, płakała, pilnowała chore dzieci, mąż interes cały prowadził, ona tylko podpisywała co jej kazał i ciągle płakała, dzieci płakały, matka płakała, ona o bożym świecie nie wiedziała.

— A co do tej kamienicy zięcia?

— Pani nic nie wiedziała i nie wie!

— A jak ja się mam ubrać do rozprawy?

— Czarno! czarno! zrzucić ten kapelusz, jedwabną suknię i kosztowności — czarna bawełniana suknia, czarna chustka na głowie...

— A czy to nie będzie dobrze jak ja będę płakała na rozprawie?

— Może pani. Płakać i nie nie wiedzieć!

— Git. A czy nie byłoby dobrze, żebym tak raz zemdląła?

— Jak pani potrafi, to i owszem!

Nadszedł dzień rozprawy. Sala napelniła się czarną rzeszą z pejsami. Oskarżona

żałobnie ubrana, z chustką przy oczach zasiadła na ławie oskarżonych, obrońca podał jej szklanekę wody... obok leż krople wody z drżącej ręki uciśnionej niewinności spadły na czarną suknię... Wszyscy wzruszeni milcząc słuchali rozprawy...

Poszkodowani wiedzieli tylko tyle, że pewnych weksli nie podpisali, a stracili po tyle i tyle tysięcy... Obrońca odwracał gromy skierowane przeciw oskarżonej na głowę p. Fuchsa, bawiącego na gościnnej ziemi amerykańskiej i wzruszająco przedstawiał niedolę jego małżonki złożonej chorobą, a spełniającej z poświęceniem swą rolę żony i matki...

W tem miejscu jęknęła pani Fuchsowa i runęła na ziemię...

Woźny i obrońca poczęli ją cucić, a ledwo wróciła do przytomności ogłoszono werdykt: niewinna!

III.

WYNAŁAZCA.

Na najpiękniejszych wspomnieniach architekta Wicherskiego z podróży poślubnej do Włoch ciążyły czarne plamy z przejazdu przez kilkadziesiąt tuneli, w których czarny kopeć lokomotywy, wdzierający się do wagonu mimo zamkniętych okien, pokrywał ławki, kufry, suknie, rękawiczki i twarze brudną i szorstką powłoką, krztusił w gardle, a obłoki dymu zasłaniały po wyjeździe z tuneli najpiękniejsze widoki. Wzmagający się upał wywoływał pot, którego krople rysowały na zadymionych twarzach białe rowki na czołach i skroniach, a otarcie chustką rozmazywało tylko sadzę. Pani architektowa, której jasna sukienka nosiła liczne odbitki daktylograficzne palców własnych i pana architekta, biadała ciągle, że też dotąd nikt nie wynalazł dla usunię-

cia dymu, przyczyny tego brudu i zatrucia przyjemności jazdy. — Tyle robi się wynalazków, dlaczegóż nie znalazł się sposób usunięcia dymu? Ta myśl utkwiała w głowie pana architekta. Przyjemności dalszej podróży usunęły tę myśl na bok, ale przy jeździe powrotnej narzucił się problem dymu na nowo. Wicherski często rozmawiał o tem z żoną, która dodała:

— A i wasze papierosy, cygara, istna plaga! Skoro nie możecie się odzwyczaić od palenia, to znajdźcie sposób przeciw dymowi!

— To byłoby łatwiej — odrzekł mąż — jest już proch bezdymny, mogłyby być i cygara bezdymne... ale usunąć dym kominowy?... ocalić higienę, vegetację od niszczących wpływów gazów w dymie zawartych, to byłoby kolosalne! wspiania!e!

— A widzisz, widzisz, pomyśl tylko o tem!

— Epokowy wynalazek!... zadanie wielkie! Sława! Nad tem warto głowę połamać!

Jednej nocy chrapiący architekt zerwał się nagle i krzyknął:

— Zosiu! Mam! mam go! jestem wynalazcą!

— Co się stało?...

— Wynalazek! Patent! Miljon!

— Co? Co?

— Dymołap!

— Co takiego?

— Pomysł prosty, jak jajo Kolumba. Wszystkie sale mają wentylatory. Jeżeli wentylator może dym ciągnąć z sali, to może go wyciągnąć i z komina!

— Ale lokomotywa jedzie!

Od wczesnego rana rysował i kombinował Wicherski. Na każdym papierze widniał biegłą ręką rysowany wylot komina, nad nim wentylator, od niego połączenie z siecią elektryczną do motoru.

— Ba! a jak niema sieci?... To może być dynamomaszyna do tego! Będzie wprost przewrót w technice palenia. W pokoju zamkniętym można będzie palić ropą, popędzać maszynę do szycia, pończoszniczkę, tokarnię, co kto zechce. Taki wynalazek, to miliony, sława Edisonowska. Dymołap Wicherskiego — albo lepiej dymochwył Wicherskiego. Albo nie, trzeba łacińską nazwę... fumus... dym... jakże po łacinie łapać? Aha! capere... „fumocaptor“... „fumicaptor“ Wicherskiego! Wspaniale! Trzeba zrobić mały model... ale konstruktor mógłby sobie przywłaszczyć mój pomysł i ubiec mię...

Zdecydował się poradzić co do wentylatora znajomego inżyniera z elektrowni, Trojackiego — ten kazał wykonać narysowane przez Wicherskiego rury, podstawki, wentylator, motorek, przewody i doradził przejrzenie literatury fachowej.

Wicherski zatelefonował natychmiast do księgarni: Proszę przysłać mi zaraz wszystko, cokolwiek drukowano o dymie, kominie lub wentylacji!

Popołudniu otrzymał z księgarni rachunek i pakiet książek, wśród których znalazł: „Dym“, powieść Turgenjewa — „Z dymem pożarów“, chorał z nutami — „Opowieści pana Dymka“ — „Kominiarz i młynarz“, komedia w jednym akcie — broszury o przewietrzaniu mieszkań przy chorobach piersiowych i o podatku dymowym w dawnej Polsce...

Rzucił książki ze złością, rysował dalej, biegał do mechanika, a w przeddzień dostarczania modeli postanowił zrobić na małą skalę próbę dymu, który miał pochłonąć jego przyszły dymochwył: na tacy blaszanej położył brykiet węglowy, polał naftą i podpalił zapałką. Próba udała się znakomicie. Nietylko pokój, ale całe mieszkanie zadymilo się tak gruntownie, że wszyscy

się zakrztusili, a bali się otworzyć okna, aby nie zwabić straży ogniowej. Zapach spalonej ropy przesycił całe mieszkanie i dopiero w nocy po otwarciu wszystkich okien można było nieco odetchnąć. Wicherski poparzył sobie tylko nieco palce i zalał posadzkę wodą przy gaszeniu ognia, większego, niż się spodziewał.

Nazajutrz otrzymał wizytę właściciela domu. Pan ten pytał, dlaczego cała klatka schodowa pachnie odorem nafty, dobywającym się z mieszkania pana architekta, prosił o ostrożne obchodzenie się z naftą, bo, zdaje się, zaszedł jakiś z nią wypadek, inaczej musiałby wypowiedzieć mieszkanie i domagać się zwrotu szkody i utraconego zysku...

Popołudniu przybył znowu jakiś pan z teką i rzekł:

— Gratuluję panu architektowi! pan zrobił wynalazek!

— Co? skąd pan wiesz? — zapytał zdumiony i zaniepokojony Wicherski.

— Tak już ludzie mówią, a przytem była mała eksplozja...

— To nie prawda! kłamstwo!

— Ja to rozumiem, ja jestem dyskretny, takie rzeczy, naturalnie, nie trzeba opowie-

dzieć — ale trzeba się ubezpieczyć od Un-fallu... jestem reprezentantem Towarzystwa Ubezpieczeń od wypadków...

— Dziękuję panu, żegnam pana, bo nie mam czasu.

— Każdy przezorny obywatel powinien się ubezpieczyć! Pan potrzebuje sobie na ten przykład sparzyć palec — to pan dostanie dwadzieścia złotych dziennie za palec. Potrzebuje pan rękę urwać — to pięć tysięcy...

— Bardzo dziękuję — żegnam pana!

— Za każdą następną rękę dziesięć tysięcy, a gdyby panu ręce i nogi urwało, so sind Sie ein gemachter Herr! — jesteś pan magnatem!

— Mówiłem, że pana żegnam — bądź pan zdrów!

— Przyjmuję także ubezpieczenia od kradzieży, wylosowania na sędziego przysięgłego, bezdzietności...

— Żegnam pana do stu djabłów!...

Ajent zwrócił się ku drzwiom, widząc architekta zrywającego się z krzesła i na odchodnem dodał:

— Ja radzę sobie namyślić — eksplozja to jest bardzo niedobry wynalazek!

Nazajutrz dostarczył Trojacki miniaturowego wentylatora z przyborami, lecz dodał: Dym wyciągnie, to prawda, ale drugą stroną wypchnie rurą napowrót — chybaby wypędzić dym do jakiego zbiornika, ale w takim razie trzeba wymyślić kompressor... Wicherski zaczął więc znowu rysować i projektować, a po paru tygodniach przywieziono mu nową pakę przyborów. Z trudem zmontował przyrządy przy drzwiczkach pieca kaflowego, w którym miał zapalić kostkę brykieta, aby nie powtórzyć efektu wywołanego poprzednią próbą na tacy, połączył druty z kontaktami od lamp elektrycznych i z bijącym sercem przytknął zapalną do podpałki w piecu. Wentylator i kompressor zaczęły działać monotonnie, a wynalazca patrzył z nadzieją na owoc swych długich rozmyślań, póki ogień w piecu nie wygasł. Wtedy odsunął przyrządy i otworzył drzwiczki od zbiornika za wentylatorem, z którego buchnął ohydny zapach ropy spalonej, aż Wicherski odskoczył. Po chwili zdecydował się zaglądnąć do zbiornika i znalazł w nim nieco sadzy i popiołu.

— Zwycięstwo! — zawołał. — Udało się! tylko ulepszać i dostosowywać do ilości dymu.

Z energją wziął się do nowych rysunków i zamówień modeli, oraz wysłał „per express“ list do doradcy patentowego w Warszawie i w Wiedniu. Korespondował z nimi i z konstruktorem przez nich wskazanym, oraz z różnemi fabrykami, w których zamówił pojedyncze części dymochwytu, przez parę miesięcy płacił rachunek na rachunkiem, niezrażony wydatkami. Właściciel domu zażądał wynagrodzenia za okopcenie sufitu, tapet i za zehlowanie posadzki, oraz wymówił sobie wszelkich podejrzanym eksperymentów z piecem, skutkiem czego Wicherski musiał zaniechać prób doświadczalnych.

Nareszcie jednego dnia wyjechał z nadziejami, paką i papierami do Wiednia, gdzie wskazano mu jeszcze jako wyrocznie fachową pewnego hofrata Fixlera. Wicherski złożył mu więc wizytę i wprowadzony do salonu, przemówił rozgorączkowany i zdenerwowany:

— Nie chcąc dużo czasu zabierać panu hofratowi, powiem krótko, że chodzi o epokowy wynalazek dla uzdrowienia ludzkości i roślinności. Nie jestem warjatem, ani manjakiem (tu p. hofrat cofnął się nieco z fotelem), lecz oceniam rzecz realnie, jakby nie

swoją, lecz obcą. Już od młodości myślałem o rozmaitych wynalazkach (tu p. hofrat cofnął fotel jeszcze dalej i wstał), ale porzuciłem te pierwsze pomysły, bo ja oceniam rzeczy realnie (tu p. hofrat stanął za fotelem, spoglądając z ukosa na drzwi boczne), teraz zaś wynalazłem rzecz fenomenalną — dość powiedzieć: pochłaniacz dymu!

— A! tak! takich pochłaniaczy zgłoszono już 168 do urzędu patentowego, tyle co kół automobilowych...

Wicherski stracił nieco kontenans, ale ciągnął dalej:

— Mój pochłaniacz polega na zupełnie prostym, realnym pomysłe, to jest jajo Kolumba!

Hofrat spojrział na zegarek i rzekł:

— Mogę panu zatem pogratulować. Może pan zgłosić swój wynalazek do urzędu patentowego — w tej chwili mam posiedzenie, muszę pana pożegnać. — I jedynym susem był pan hofrat za drzwiami.

Wicherski osłupiał. Otarł cylinder rękawem, pokiwał głową i poszedł do swego doradcy patentowego, z którym wnieśli przygotowane podanie o patent na dymochwył, biorąc poświadczenie, iż zgłoszenie

nastąpiło tego a tego dnia o godzinie 11 minut 47 przed południem.

Wicherski oczekiwał niecierpliwie odpowiedzi, nareszcie po tygodniu doniósł mu stróż, że był listonosz z dużą kopertą urzędową, ale nie chciał jej nikomu zostawić. Wicherski pojechał natychmiast na pocztę, gdzie się dowiedział, że odnośny listonosz jest prawdopodobnie na piwie u Józefa pod „Gackiem“ — pojechał więc do Józefa, odszukał listonosza, zafundował mu dwie bomby i przywiózł fjakrem na pocztę, gdzie nareszcie otrzymał ów list pożądany, w którym znalazł zawiadomienie, że podanie jego „nie będzie mieć biegu“, zanim nie nadeszle stempli przepisanych.

Oczekiwanie na patent wzbudziło w Wicherskim niepokój, odebrało apetyt, wszyscy zauważyli w nim zmianę, ale nikt nie wiedział, co mu dolega, bo Wicherski trzymał w tajemnicy swój wynalazek i swoje nadzieje.

Nareszcie w miesiąc otrzymał naprawdę patent Nr 1.235.467 na swój dymochwył.

Teraz precz z tajemnicą! Z triumfem okazywał patent, odbierał powinszowania, a tylko jeden pesymista popsuł mu humor, mówiąc: Patent można dostać na wszystko,

co kto zgłosi: na szczoteczkę do zębów, na pastę do butów, lub na kierat rolniczy — idzie o to, aby rzecz opatentowana była coś warta...

Wynalazek ten kosztował Wicherskiego koło 3.000, dodał więc jeszcze 300 złotych na anonse, oświadczając gotowość sprzedania patentu na dymochwyt i oczekując ofert pod adresem: „J. W. Pepita za okazaniem kwitu ogłoszeniowego“.

Gotowość sprzedaży patentu pozostała mu dotąd, ale wszystkie rury, wentylatory, motory, druty, kazała pani Wicherska wynieść na strych i oczyścić pokój z najdrobniejszych śladów wynalazku..

IV.

MECHANIK.

Zefiryń jest stosunkowo rzadko spotykanem imieniem. Zapomina się łatwo, czy komu na imię Jan lub Józef, ale posiadacz pięknego imienia Zefiryńa wbija się głębiej w pamięć. To też Rękockiego rzadko kto po nazwisku tem wymieniał, lecz wszyscy zwali go Zefiryńem, Zefirem, Firynem, a z czasem uznano to powszechnie za jego nazwisko. Wielu go znało tylko jako p. Zefiryńa, a tych wielu było bardzo wielu, bo Zefiryń od ławy szkolnej wyrobił sobie między kolegami sławę wielkiego fizyka. Wprawdzie w teorji fizyki nie odznaczył się i ledwo mierny stopień uzyskiwał z tej wiedzy w świadectwach szkolnych, ale zato w praktyce! On był tym, który zbudował flaszkę lejdejską i elektrofor w VII. klasie, konstruował wiele wędek na ryby, oprowia-

książki, zrobił z papieru kolorowego olbrzymiego orła latającego, robił proce, wyrzywał z deseczek koszyczki i pudełka, reparaował łyżwy, budował zatrzaski do łowienia ptaków, a nawet skonstruował z obręczy beczkowej łuk, z którego omal nie wystrześlił strzałą oka jednemu z kolegów, który stał o dziesięć kroków w bok od zamierzonego celu. Stąd wyniósł sławę mechanika, którą koledzy rozprószeni po maturze w różne części Polski roznosili, a nawet po wielu, wielu latach, gdy kto wspomniał Zefiryndę, to zawsze dodawał: Ten mechanik. To głowa! Ten powinien zawrzeć spółkę z Edisonem.

Zefiryndę obrał jednak zupełnie inną drogę, bo został sędzią, gdzie nie miał żadnego pola do zastosowania swych talentów (oprócz jednego wypadku, gdy do drzwi umocował ciężki kamień na sznurze przecigniętym przez blok, który automatycznie drzwi zamykał), ale w wolnych chwilach pracował w domu nad konstrukcją wiatraka, którym spodziewał się zastąpić różne motory dla celów domowych i wreszcie pojawiły się na dachu jego domu okazałe skrzydła wiatraka, które czasem się obracały, a miały przede wszystkim pompować

wodę do łazienki, co jednak pozostało jeszcze rzeczą przyszłości, gdyż, albo brakło wiatru, albo dźwignia lub śrubka jakaś ułamała się, gdy wiatr raczył skrzydła poruszyć, a Zefiryn nie miał czasu zająć się usunięciem tego braku, gdyż oddał się właśnie koncepcji koła do samochodów, mającego usunąć raz na zawsze wszelkie gumy, a zastąpić je sprężynami.

W tym czasie zapadła moja maszyna do pisania na przykry defekt, bo nagle wózek posuwający się przestał się cofać automatycznie po każdym wybiciu litery — trzeba było naprawić sprężynę, która działać przestała. Zdarzenie o tyle nieprzyjemne, że prócz wydatku na naprawę trzeba maszynę odnieść do mechanika, odczekać z dzień przynajmniej i przynieść ją z powrotem. Gdy właśnie bolałem nad tym wypadkiem — przypadek przysłał mi ratunek, bo oto Zefiryn odwiedził mnie i dowiedziawszy się o mym kłopotcie, rzekł: Głupstwo! znam się na tem! rzemyk pewnie spadł z kółka lub odczepił od sprzączki i dlatego sprężyna nie działa. Żeby były jakie obciążki i dłutko do wykręcania śrubek, tobym to zaraz naprawił. — Wszystko jest, — odrzekłem. — W szufladzie stolika pod ma-

szyną były rzeczywiście wszelakie przybory, których przeznaczenia nawet nie znałem, prócz oliwiarki i szczotki, kupione razem z maszyną, flaszeczki z benzyną, olejem, pędzel, rodzaj dłutka, szczypczyki i coś tam jeszcze.

Zefiryn zrzucił surdut, postawił maszynę na stole, i jako biegły internista poddał maszynę wszelakiej djaгноzie ze wszystkich stron, następnie jął dłuteczkiem wykręcać śrubki i rozbierać maszynę na kawałki, wreszcie zostało rusztowanie Underwooda z klawiaturą osobno, wózek i wałek osobno, obok stos kawałków składowych i śrubek. Zefiryn stukał w klawisze, próbował wszelkich kólek i dźwigni, a w tem trzask! coś brzękło.

— Coś wyleciało — mruknął Zefiryn, — poświeć świecą z boku...

Niepokój złowrogi zaczął mię ogarnywać już pierwej na widok ruiny, ale teraz już naprawdę się zmartwiłem, czy poczciwy Zefiryn nie popsuł co w maszynie.

Po długich badaniach i próbach orzekł Zefiryn, że tu zachodzi jakiś poważniejszy defekt, że złoży maszynę napowrót i trzeba potem wezwać specjalistę. Zaczął więc zbierać kawałki, przykręcać, odkręcać, obra-

cać — a tu ani rusz! Nareszcie złożył szkielet, ale parę kawałków zostało na boku, bo Zefiryń nie mógł ich jakoś dopasować nigdzie.

Musiałem jeszcze podziękować Zefiryńowi za tę „pracę“ — a potem specjalista wystawił mi słony rachunek za naprawę i dorobienie różnych śrubek i cząstek pogubionych, pokreconych lub pociętych przez pomysłowego Zefiryńa, gdy więc w parę dni spotkałem się z panią Zefiryńową, nie mogłem powstrzymać się od nieco złośliwych uwag, co do pomocy udzielonej mi uprzejmie przez jej męża, a ta śmiejąc się, odrzekła: — To pan jeszcze nie zna Zefiryńa? Jak można było mu pozwolić dotykać tak skomplikowanej maszyny? Co weźmie w rękę, to napewno całe nie wyjdzie z niej. Popsuł w domu telefon — zegarek syna i gramofon, moja maszyna do szycia rozebrana przez niego stoi na strychu, — światło elektryczne parę razy tak naprawił, że monterzy potem cały dzień pracowali w całym domu, a w kuchni urządził mi raz wybuch gazu, a drugi raz potop z wodociągu. Rewolwer schowałam pod mój klucz, bo napewno byłoby nieszczęście, jakby Zefiryń zaczął z nim manipulować,

oho! to mechanik! Teraz zakłada w domu radjo, robi dziury w murach, przeciąga druty — boję się, żeby nie sprowadził znowu jakiej awantury!

V.

DZIAŁACZKA SPOŁECZNA.

Państwo Latałscy byli od pięciu lat prawdziwie szczęśliwym małżeństwem, bo złączyła ich miłość wzajemna, a służyło zdrowie i dostatek, gdyż p. Latałski miał obok pensji urzędniczej mały mająteczek, a żona kamieniczkę, nie niosącą wprawdzie dochodu, ale zapewniającą wygodne mieszkanie. Jedyłą chmurką na ich horyzoncie było to, że małżeństwo nie zostało pobłogosławione potomstwem — pozbawieni więc tej pociechy rodzinnej i miłych zajęć wychowania, oddawali się małżonkowie lekturze, muzyce, wizytom, koncertom, teatrowi, a wreszcie oddała się pani Latałska filantropji i pracy społecznej. Weszła więc do komitetu opieki nad sierotami, do towarzystwa ochrony dziewcząt, do kolonji dziecinnych itd, coraz częściej miała posiedze-

nia i narady, wenty, loterje i zbieranie składek.

Skutkiem zajęć p. Latałskiej w sprawach dobroczynnych za domem, ciężar domowego gospodarstwa przeszedł na kucharkę Rózię, a p. Latałski zasypywany od niej pytaniami co do obiadu lub kolacji rozszerzał swój horyzont wiedzy o sztuce kulinarnej i o stosunkach merkantylnych, t. j. o źródłach i cenach nabycia kawy, herbaty, owoców, mięsa, mąki, jaj, masła, ściepek, szczotek, zmiotek, któreto potrzeby, ceny i wydatki ogólne, wzrosły znacznie.

Jednego dnia wracając z biura natrafił p. Latałski w Rynku na stolik, przy którym małżonka jego w gronie dwóch panienek fungowała przed tacą, puszką, stosem papierków i szpilek. Ze stolika spływał afisz z napisem „Zbiórka na bezdomnych“. Panienki łapały przechodniów i czasem udawało im się doprowadzić kogoś do stolika, gdzie ofiara panienek składała ofiarę do puszek lub na tacę, pani dziękowała uprzejmie, a panienki przyszpilały ofiarodawcy karteczkę na klapie surduta. Pan Latałski złożył papierek dwuzłotowy i otrzymał odznakę na klapę marynarki, przyczem dowiedział się od żony, że może

sam spożyć obiad, bo ona musi iść do prezesowej komitetu.

Pani Latałska weszła w modę: nie było odtąd komitetu lub dobroczynnej zbiórki ulicznej, w którychby ona nie brała udziału, poczem rozszerzyła zakres działalności publicznej z filantropji na sprawy społeczne i patrijotyczne, wzięła więc udział w różnych wiecach, obchodach rozmaitych rocznic, począwszy od nabożeństw porannych, a skończywszy na wieczornej „akademji“, a nawet rozwinęła inicjatywę w wyszukiwaniu rozmaitych celów dobroczynnych i uroczystości narodowo pamiątkowych. Poznała się doskonale na technice urządzania komitetów, zaproszenia protektora, wystosowania odpowiednich zaproszeń do wszelakich dygnitarzy, podania do Gminy o subwencję, wertowała schematyzm i skorowidz adresów, wyszukując osoby, po których możnaby się spodziewać datku — co jej tak absorbowowało czas, że mąż coraz częściej znajdował na biurku karteczkę z napisem: „Kochany mężulku — obiad podaj ci Rózia. Przyjdź wieczorem na nasze przedstawienie dla dzieci zagrożonych gruźlicą“ — albo: „kolacja jest w szabaśniku, Rózia zagrzeje“. O ile nazwisko pani La-

tańskiej stało się popularnem w sferach działaczy i działaczek społecznych — o tyle stało się postrachem dla reszty publiczności, bo wizyta jej była niechybną zapowiedzią nowej składki, zbiórki, kwiatka, festynu itd., aż wreszcie jednego dnia otrzymał pan Latański anonim: „Szanowny Panie! Weź Pan raz w kluby swoją babę, aby przestała gonić od domu do domu, przez co przyniosła mi szkarlatynę. Lepiej żeby raz rozniosła cholere między te plagi komitetowe“.

VI.

RADIO — AMATOR.

Cóż to za tryumf ducha ludzkiego rozprowadzać wiadomości i roznosić dźwięki muzyki zewsząd i dla wszystkich! Niechce się wierzyć temu, a jednak tak jest. Przeciętny człowiek nie bardzo rozumie istotę przyrządu radiowego, ale coś tam wie z fizyki o falach głosowych, używa codziennie telefonu, czyta w dziennikach programy, odczytów, wiadomości i koncertów radiowych, które może mieć codziennie o pewnych godzinach, więc daje się skusić anonsowi ogłaszającemu przyrządy radiowe — i wnet odbywa się konferencja z właścicielem domu i sąsiadem, którym obiecuje się możliwość usłyszenia opery paryskiej per radio, a ci zachwyceni tą perspektywą zezwalają na założenie anteny na dachu. Następnie dostawca inkasuje cenę przyrządu i ustawia cudowną szkatułę ze słuchawkami i roz-

głośnikiem w mieszkaniu nowego radiofila, łączy druty z anteną na dachu, drugi z ziemią, daje pouczenia co do sposobu używania — i cud gotowy!

Mój przyjaciel Wicek urządził sobie radio w domu i odtąd zmienił zupełnie tryb życia. Gdy dawniej lubił spacerować, odsiadywać pewne godziny w kawiarni, a inne w klubie przy kartach — teraz ciągle spieszy się do domu, bo musi słuchać radioaparatu. (Drugą dodatnią stroną radia: powab pobytu w domu, wzmocnienie życia rodzinnego i życia towarzyskiego). Słyszając tyle o przyjemnościach słuchania radia z radością przyjąłem zaproszenie Wicka na wysłuchanie wieczornego programu z Wiednia, Rzymu, Berlina itd.

Zastałem całą jego rodzinę skupioną w jednym kącie pokoju ze słuchawkami przy uszach koło stolika z aparatem, przy którym manipulował Wicek.

— Dobrze że przyszedłeś, powitał mnie Wicek — dziś program wszędzie doskonały. Właśnie słuchaliśmy Traviaty z Medjolanu, ale nastąpiła jakaś przerwa. To nic. Połączę z operą frankfurcką fała 467 — załóż słuchawki, siądź tu wygodnie przy Mańci..

Założył mi słuchawkę, z której coś strasznie zaczęło mi strzelać w ucho, zacząłem poprawiać słuchawkę, a Wicek dodał: To tylko chwilowe, zaraz aparat nastawię.

Zaczął kręcić śrubkami, manipulować szpulkami, lampkami, a tymczasem strzelanie zmieniło się w szum i pukanie.

Wicek manipulował dalej mrużąc: Precyzer nie operuje dość dokładnie pojemnością kondensatora... zaraz... o! teraz, teraz!

Dosłyszałem parę taktów jakiejś muzyki w rodzaju organów, ale Wicek poprawił coś w lampie katodowej i muzyka zmieniła się w gwałtowny gwizd lokomotywy, aż musiałem odłożyć słuchawkę.

— Dziś powietrze wilgotne, wyjaśnił Wicek — wczoraj była audycja znakomita! Ale spróbuję teraz nastawić Wrocław 415.

Założyłem słuchawkę. Z początku było pukanie, potem trzeszczenie, które zmieniło się znowu w pukanie i terczenie, wreszcie ozwał się głos basowy: Hamburg acht gegen vier!... Berlin... sechs.

— Wiadomości sportowe, wyjaśnił Wicek, nie ma co słuchać, to Berlin mówi. wezmę falę 470 na Rzym...

Znowu rozmaite trzaski w słuchawce, ale wreszcie doczekałem się, że ozwał się jakiś miły sopran, lecz Wicek nie mógł wytrzymać, aby nie przykręcić jakiejś śrubki, więc nagle rozległ się mi w uchu trzask ogłuszający, a potem cisza.

— Lampka katodowa się odkręciła, — mruknął Wicek, a podczas gdy odpoczywałem odjąwszy słuchawkę, manipulował koło aparatu — wreszcie znowu usłyszałem jakąś mowę węgierską.

— To Peszt mówi... trzeba szukać innej stacji... — Tu zatrzeszczało coś okrutnie w słuchawce, zapytałem więc, czyby nie można posłuchać radia przez rozgłośnik.

Skręcił więc druty ku stołowi na środku pokoju, obrócił tubę w moją stronę i zaczął kręcić śrubkami.

Jakoż po chwili ozwał się szum i gwizdanie z tuby, następnie skuczenie, a potem usłyszałem czysty głos wyraźny: In der Czechoslowakei sind... vier Verbrecher... trrrtrask... zwei Gefänngniswärter ermordet... trrr! trr! fiiii! iii! trr... wahrscheinlich nach Polen oder Ungarn geflüchtet trrr!

— To niesłychanej wagi dla społeczeństwa, pomyślałem, cały świat w jednej chwili można zaalarmować pościgiem za

zbrodniarzami — ale te myśli przerwał Wicek swoim kręceniem śrubek, bo tuba zamilkła, a wreszcie po wydaniu rozmaitych nieludzkich tonów zaczęła powtarzać jakiegoś marsza orkiestralnego, wcale nie gorzej od gramofonu, tylko z dodatkiem różnych trzasków od czasu do czasu.

— Są gdzieś zaburzenia w atmosferze — objaśnił Wicek i tramwaj przeszkadza... Spróbujmy teraz Pragę...

W tem nadszedł przyjaciel domu, gimnazjalny profesor fizyki, specjalista radiowy, zasiadł zaraz do aparatu i rzuciwszy wiele mądrych uwag o katodzie, anodzie, odborniku, kondensatorze itd. śrubował, kręcił, odkręcał, przykręcał — lecz aparat oniemiał od tej chwili i więcej się tego wieczora nie odezwał.

VII.

KRYTYCY SZTUKI.

Feljeton dzienników uzyskał z dawna pełną autonomję wobec redaktora naczelnego lub odpowiedzialnego, nie zawsze jest w zgodzie z farbą polityczną dziennika, daje gościć przeróżnym autorom. Bywa zwykle chętnie czytany i... zapomnianym — ginie w grubych tomach roczników. Wyjątkowo może autor gratulować sobie, że jego lapsus ukrył się wśród setek tomów rocznika, chyba przypadkiem jakiś szperacz dobierze się do niego w bibliotece Jagiellońskiej. Z literatury takiej „zaginionej“ można by wydobyć wiele cennych artykułów...

Kollekcyonują marki pocztowe, klepsydry pośmiertne, bilety, guziki i t. d., więc i ja uległem manji kolekcyjonerskiej feljetonów, choć ograniczyłem ją tylko do pewnego gatunku ich.

Pewien dział tych wycinków odłożyłem do osobnej teki i po namyśle pewnym zanotowałem na niej: „Przyjemna Błaga“ — potem poprawiłem na „Brzęczenie słowami“ — wreszcie zatytułowałem wynalezioną szczęśliwie przez Boy'a nazwą: „Wiatrologja“.

Sądzę, że definicja Boya, określająca wiatrologja, jako: „słowa rzucone na wiatr, mówione obok samej rzeczy“, ograniczająca więc wiatrologja tylko do akcesorjów, jest za ciasną i musi być rozszerzoną także na całość utworu, skoro pojawiają się artykuły, które w całej treści nie są czem innym, jak rzucaniem słów na wiatr.

Wiatrologja, choć nazwa jej jest tak młoda — jest bardzo starą, a kwitnęła głównie w epoce panegiryku, potem w filozofji transcendentalnej, a obecnie objawia się głównie, jak widzę z mojego zbioru feljetonów, najbujniej w artykułach estetycznych.

Sądzę, że ogół czytelników nie znudzi się poznaniem niektórych kwiatków wiatrologicznych.

Autorowie tych artykułów zarumieniliby się dziś może, dlatego nie cytuję żadnych nazwisk, ale podkreślenie takich elukubra-

cyj ostrzeże ich na przyszłość, że słowo raz wydrukowane nie zawsze idzie w niepamięć.

Z szeregu krytyków malarskich przytaczam głębokie uwagi jednego, który w sprawozdaniu z pewnej wystawy pisze: „Artysta wnika w istotę modeli, którym daje układ o wartości statycznej raczej, niż dynamicznej... jeżeli w poprzednim obrazie mogliśmy zauważyć, że leitmotywem były linje pionowe, to tutaj głównym refrenem są również linje, lecz skośne!“

„Tenże artysta coraz pełniejszą orkiestracją barw wyraża impresje przyrody. — Pejzaże jego napełnione są coraz głębszym nastrojem **muzycznym!**“

Drugi „krytyk“ pisze znowu: „Portrety tego artysty grają obrotami płam barwnych, pod którymi arabeska, wiążąca znamienne objętości postaci posiada drugorzędną rolę“.

W jednym feljetonie czytamy, że „sztuka polska stara się obecnie uplastycznić w ruchu statycznym dynamikę uczuć narodowych...“ w drugim widzi krytyk „tafle jezior grające **mistycznymi tonami** dyssonansów“.

„Przyroda w pejzażu artysty odgrywa rolę jakby chóru **mistycznego**, osoby zaś są

dramatycznym wcieleniem nastroju duszy. a modele o skamieniałych wyrazach stoją w drewnianych pozach“.

Epokę makaronizmu przypomina inny recenzent, który swe wrażenia wzrokowe wyraża takimi słowami: „Swoistą **ekspresją** dobywa miękkim modelunkiem. **Konsekwencją** impressjonistycznych założeń i **problemów** z siłą **interpretuje**. Te same **walory** indywidualnej impressji i rozwiewnie przeprowadzonym kubizmem w szlachetnej gamie barw jest wyrazem skończonej formy...“
Co za uczono piękny brzęk słów!

Inny znawca pisze: „Swoistość wizji malarskiej nie opuszcza tego artysty... idąc za wspólnem teraz całej twórczości artystycznej hasłem syntezy wnika w sedno rzeczy od strony formy. Rzeźba ta wybija się wyrazem twarzy, w której artysta streścił w **półtonach** płynnych a nikłych duszę młodości. (Płynne półtony a nikłe w marmurze!)

Paradny jest pewien znawca (lwowski), który podał następujący kwiatek: „Problem sztuki Ajdukiewicza to dążenie do połączenia paryskiej rodzajowej monumentalności z monachijską monumentalną rodzajowością. U Brandta poruszają się kompozycje po prawej osi obrazu, u Ajdukiewicza z pra-

wego lub lewego boku do połowy głębokości obrazu, by tu załamać się, ale w Rewji Rumuńskiej motyw profilowy silnie podkreślony, bo karetą królowej jest w profilu namalowana...

Dalej podnosi ten „znawca“ ekspansję Ajdukiewicza, którego „artyzmu koleje szły tym torem, po którym biegnie orienteks-pres — że stwarzając szereg portretów panujących, składa dowód naszej kultury. Jego portrety cenimy, jako twory artysty, który posiada całą mechanikę życia ludzkiego, który włączył do portretu ruch niby **akumulatory** o prądzie chwilowo wyłączonym! Wielki kompozytor, przechodząc do portretu od tworów wolnej fantazji zdaje mi się sumować w **akordzie**, trzymanym długą **fermatą** motywy rozwinięte w poprzednich kompozycjach wolnych!... (sic)

Pewien znów krakowski krytyk widzi, jak: „w przesubtelnionym rysunku głów **grają symfonię zaświatowych tęsknot**“ — to znów podnosi pewne portrety, jako „dzieła bez konkurencji, na co złożyły się barwa subtelnie przetarta przez sito atmosfery i podporządkowanie walorów symfoniczne“ (sic!). O talencie i znajomości rysunku, grupowania i malowania — dzi-

siejszy krytyk nie nie pisze, brak sądu o tem zastępuje frazesami o „szukaniu nowych dróg“ — znacznych „walorach artystycznych“ — „mistycznej symfonji“ i t. p. wiatrologją.

Wiatrologją popieraną jest także urzędowo, bo w r. 1920 ogłoszono wiatrologiczny program konkursu departamentu sztuki z nagrodą 6.000 mk. za pracę z takim programem: „O kalokagatji do królestwa Ducha. Ma się wyświecić łączność greckiej kalokagatji z egipskiem pojęciem piromis, a ukoronowaniem idei było stworzenie królestwa Ducha u Słowackiego. Należy podać bliższą jego genezę. Chrześcijaństwo zna pozatem pojęcie syna człowieczego, będące może spadkobiercą egipskiego piromis..“

VIII.

CYWILIZACJA.

W pogodne święto lubiłem przechadzki na peryferje miasta, aby cieszyć się rozwojem budowlanym i porządkowym, czasem ubolewać nad zaturą ogródka lub starego dworku, na których miejscu wyrastała tandetna kamienica... Gdzie dawniej obok wiejskiej, błotnistej lub pełnej kurzu drogi, wznosiły się ubogie dworki lub prawie chałupy, powstawały walcowane szosy, wygodne chodniki, latarnie, przy nich nowoczesne częste wcale ładne domy. Znowu raz poszedłem na przechadzkę, a zarazem na przegląd zmian po dłuższej przerwie. Skreśliłem za ulicę Karmelicką. Dzień był pogodny, słońce oblewało niedawno powstałe kamienice. Ząb czasu już je nieco nadzarpnął: tu tynk odpadły, tam obrudzone podwoje bramy, ślad dziur po usuniętym

napisie, strzępy karty z ogłoszeniem mieszkania do najęcia, nadwerżony próg, zachodzona błotem podłoga sieni... Właściciel niewiele włożył widać w konserwację — ale bo czynsze spadły od owego czasu, gdy dom błyszczał nowością, czystością, porządkiem... Z pootwieranych okien dolatuje brzęk fortepianu, lub chrapliwe tony gramofonu... Skręcam. Na chodnik występuje stary parterowy domek, czekający na wykupno do linii regulacyjnej za drogie pieniądze... Tymczasem na dole szynceł, obok kończy toaletę przy oknie jakaś dama, drugie okno zasunięte czerwoną firanką, w sieni magiel, wózek, beczka, drabina, paki, brud, śmieci... Właściciel broni się przeciw wszelkim poleceniom porządkowym Magistratu biernym oporem „nie może przecieżłożyć na dom przeznaczony do zburzenia... ale żąda coraz wyższej ceny od chcących dom kupić, bo nowa kamienica będzie już przy pierwszorzędnej ulicy.

Dalej znów trzechpiętrowa kamienica „z komfortem“, wyłożona kafelkami, o maleńkich pokoikach, w których nie można się obrócić po ulokowaniu łóżka lub fortepianu... „Komfort“ już szarzeje, chodnik na schodach zabłocony i miejscami dziurawy.

farba na ścianach tu i ówdzie odrapana, na dzwonku elektrycznym kartka z napisem: „Pukać! Dzwonek zepsuty“.

Znowu szereg kamienic, z otwartych okien dolatują na przemian fortepian lub odgłosy gramofonów... Fronty domów ozdobione małymi gankami, na których nigdy nikt się nie pojawia, bo drzwi pozabijano na amen w zimie, aby nie dopuścić zimna do wnętrza. Na progach wejść do domów grają nieletni potomkowie lokatorów z suterenu w karty i palą papierosy, a reszta ich kopie zawzięcie stary kapelusz jako piłkę nożną po gościńcu.

Na narożniku ćwiczy się gromadka dzieci tubylców w rzucaniu kamieniami do latarni ulicznej.. Pod latarnią strzępy afiszów odwiecznych, tylko jeden nowy, reklamujący jakiś dramat rozbójniczy w kinie. Przed afiszem trzech wyrostków bez butów, a jeden zagaduje: — Franek! pójdziemy do kina? — A co dziś pokazują? — Harry Peel w „Wandzie“, a Jacek Cogan w „Warszawie“. — Lepiej chodźmy do Promienia na Maksa Lindera! — Ja wolę Mańkę Picford w Uciesze...

Skręcąc na Powiśle, omijam szybkim krokiem karuzel i huśtawkę amerykańską

zatykając uszy przed buczeniem strasznej kataryny.

Nad brzegiem Wisły pod Wawelem w zieleni tonał wówczas domek starożytny. Dach z wyjątkiem paru plam nowych gontów jakby zielonym dywanem przykryty, tak pięknie obrósł mehem. Ściany pokryte dzikiem winem, w których ledwie widać małeńkie aż do ziemi zapadłe okienka.

Balaski ganku na piąterku już w niepełnej liczbie i szpic nad daszkiem ganku pomalowane cynobrem, małeńki ledwo parolokciowy ogródek między domkiem a wałującym się parkanem starannie kwiatami obsadzony, ścieżka do drzwi białym piaskiem wysypana, wśród kwiatów srebrna szklana kula na patyku — czuć, że w tej ruinie mieszka jakaś dbała o piękno dusza. Otwiera się okienko, słychać najpierw jakieś syczenie, a potem chrapliwymi tonami odzywa się z gramofonu kabaretowy kuplet: „Chociażby troszkę pokaż pończoszkę“.. Uciekam.

CZEŚĆ TRZECIA.

OBRAZKI.

I.

SEN NOCY LETNIEJ.

Od tygodnia panowała niezwykła w naszym klimacie pogoda, na niebie nie widziano chmurki, słońce paliło od wschodu do zachodu, a potem rozpalone mury kamienic promieniowały ciepło z siebie, jak piece, tak, że i noc nie przynosiła ochłody, której pragnęły wszelkie mieszkania, otwierające na noc okna w nadziei wpuszczenia nieco chłodu w wygrzane mury.

Dr W., czując że nie zaśnie w upale, czytał w nadziei doczekania się chłodu o północy, potem oparł się o okno, spoglądając w gwiazdziste niebo i wciągając oddechem nieco chłodniejsze powietrze. Rozglądniejszy się po mrocznej ulicy dojrzał, że prawie w każdym oknie ktoś w negliżu, zmęczony upałem, opierał się o parapet, spoglądał bezmyślnie to w niebo, to w ulicę, czekając, czy potrzeba snu nie zawoła go do łóżka...

Zdaleka zaczęło dochodzić szczekanie psa, zbliżać się, wreszcie piesek przystanął pod jednym domem i zaczął skomleć żałośnie.

— Ach! to Azorek! biedny Azorek — ozwał się żeński głosik z okna drugiego piętra. — Azorek! Azorek! gdzie ty się zgubił, ty brzydki Azorku!

— Był na rendez-vous! — ozwał się z dołu jeden ze spóźnionych studentów. — I Azorek musi się czasem pokochać!

— Niech pan zadzwoni do bramy, żeby stróż wpuścił Azorka!

— Dobrze, pani dobrodziejko, życzę regularnego apetytu! Dobranoc Azorku!...

— Policja! policja! — ozwał się głos przy nieco dalszym domu.

Z wszystkich okien wychyliły się głowy w drugą stronę ulicy.

W ciemności można było tylko ujrzeć dwa cienie ludzkie przy drzwiach sklepu szamocące się, z których jeden wzywał wielkim głosem policji, poczem dały się słyszeć z końca ulicy ciężkie kroki na bruku. Przedstawiciel władzy rozpoczął śledztwo. W ciszy nocnej dosłyszeli widzowie z okien, że jedna strona sporna żydowskim akcentem oskarżała drugą o szarpanie i brzydkie

wyzwiska parchami i cholera, a wreszcie o pobicie. Policjant zakonkludował, aby obwiniony poszedł z nim na policję.

— To pan i żyda zabieraj! — zawołała kucharka z okna drugiego piętra.

— Czemu pan i żyda nie zabiera? — poparł ją głos z trzeciego piętra.

— Proszę się nie mieszać! — odpowiedział policjant, wznosząc głowę do piętr.

— A czemu żyd wpuszcza człowieka w nocy do szynku — replikowała kucharka — to pan nie wie, że szynk ma być po dziesiątej zamknięty? co z pana za policjant?

— Proszę tam być cicho, bo to do pani nie należy!

— To do wszystkich należy — ozwał się inny głos. — Bierz pan i żyda, czemu nie pilnuje godziny policyjnej!

— Proszę się rozejść z okien! — wezwał policjant.

— Szynk był zamknięty — zaczął szynkarz się bronić.

— A bo to prawda — zawołała kucharka. — Czy ja to nie widzę, że drzwi tylko przymknięte, a jak ktoś zapuka, to żyd wpuszcza! Bierz pan żyda na policję!

— Policjanci to tylko żydów bronią! —
ozwał się inny antysemita gdzieś z bocznego
okna.

— Proszę nie obrażać władzy! — za-
protestował policjant — proszę się nie mie-
szać i rozejść z okien!

— Przynieś nam pan drabiny, to się
porozchodzimy!

Wszystkie okna już się wypełniły gło-
wami widzów, a wszystkie zaczęły głośno
popierać wniosek kucharki, że należy żyda
zabrać za otwieranie szynku w nocy. Szyn-
karz przeląkł się, zaczął się usprawiedliwiać,
a policjant, widząc większość przeciw nie-
mu, zaczął indagację z kucharką, wychy-
loną z okna trzeciego piętra, co do otwie-
rania sklepu na pukanie; wszyscy sąsiedzi
zabierali głos z okien wyżej i niżej i tak
w ciepłą noc prowadziła się rozprawa coraz
weselej, wreszcie szynkarz kapitulował, po-
godził się z przeciwnikiem, a policjant od-
szedł majestatycznym krokiem.

Jeszcze chwilę przedysputowali w oknach
sąsiedzi ten wypadek, cisza wracała — księ-
życ wypłynął na mroczną ulicę, powoli po-
znikały postacie z okien, spadały story
i spokój spłynął do domów na skrzydłach
pożądanego snu...

II.

WDZIĘCZNOŚĆ.

W biurze adwokackiem, nie przyzwyczajonem do zgromadzeń, lecz do pojedynczych wizyt klientów, było dziś pełno, jak na wiecu. Dziś rocznica śmierci poczciwej staruszki, która kilkadziesiąt tysięcy zapisała rozmaitemi kwotami dalekim krewnym, znajomym, przyjaciółkom i towarzystwom dobroczynnym — i dziś ma adwokat, jej pełnomocnik i egzekutor, po zrealizowaniu majątku i dopełnieniu formalności wypłacić obdarowanym przypadłe im zapisy.

Obdarowani nie okazują wesołych min. Siedzą lub stoją ponuro, trzymając kwity, przygotowane z polecenia adwokata; i według jego pouczenia; niektórzy szeptają, kiwając głowami, spoglądają na zegarki — nareszcie wchodzi adwokat.

— Przepraszam, że się nieco spóźniłem — rzecze — ale musiałem w urzędzie

depozytowym dłużej czekać na wydanie mi pieniędzy dla państwa.

— Mógł pójść po pieniądze wcześniej! — mruknął jeden legatarjusz do drugiego.

— Proszę zatem po kolei z kwitami...

Adwokat wszedł do drugiego pokoju, zasiadł przy biurku, położył przed sobą stos banknotów, odpis testamentu, arkusz papieru do notatek, a legatarjusze wchodzili jeden po drugim po odbiór.

— Towarzystwu Ochronki tysiąc koron, a po odtrąceniu dziesięć procent na należność rządową, dziewięćset — do rąk pana prezesa... kwit... dobrze... proszę bardzo!

Pan prezes przeliczył i, czując potrzebę powiedzenia czegoś, rzekł: Dziękuję... szkoda, że nie więcej! Dobrze i to! Sługa.

— Stowarzyszeniu opieki nad sierotami tak samo tysiąc koron, po potrąceniu należności, dziewięćset koron.

— Czemu już nie zapisała nieboszczka tysiąc sto, zostałyby okrągłe tysiąc...

— Nie, panie prezesie, bo od tej setki znowu należałoby się dziesięć procent, więc zostałyby 990 koron.

— A niech лихо weźmie takie prawa!...

— Pani Derska dwa tysiące... po potrąceniu należności 1.800 koron.

— Tyle mi się dostało!... za tyloletnią przyjaźń. — Od dziecka się znałyśmy, a nawet ciotka mojej babki to była jakaś krewna jej dziadka... Jeszcze urywają 200 koron!

— To należytość rządowa...

— Ha! bo ja ta wiem! w testamencie było 2.000, a dostaję o 200 mniej!...

— To już nie moja wina.

— Może! — odpowiedziała zirytowana babina, ustępując następnemu legatarjuszowi, który odbierając swój legat, westchnął: Tak to teraz związki krwi nic nie znaczą.. nie miała dzieci, wnuków, nie mogła to więcej zapisać.

— Przecież pan nie krewny...

— Jakto nie? Przecież mój stryj to był bratem ciotecznym męża nieboszczki!

— No to nie pokrewieństwo, tylko dalekie powinowactwo!

— A miała bliższych? Taki majątek! 80.000 koron rozpaskudziła na drobiazgi! padam do nóg!

— Pani Kaplicka — 900 koron.

— W testamencie było 1.000?

— Przecież mówiłem pani, że od niekrewnych należy się opłata rządowa razem 10 od sta!

— Jakto, w testamencie jest tysiąc, to powinna dostać tysiąc! Ładna wdzięczność nieboszczki! Dwadzieścia lat byliśmy w jednym bractwie siostrami! Na taki majątek duży zostawiła mi jałmużnę...

— Żegnam panią — proszę dalej: Starszy bractwa... 400 koron.

— A Ochronce to zapisała tysiąc...

— Żegnam, żegnam... Pani Szklanecka... czterysta koron.

— Ciekawam, dlaczego Kaplickiej zapisała tysiąc? przecież tak samo byłam z nią w bractwie...

— Żegnam! — żegnam! — żegnam! — powtarzał adwokat coraz głośniejszym głosem, coraz bardziej wzburzony. — Proszę, pan Kufelski, tysiąc osiemset koron!

— Tyle się dostaje po krewnej... po bogaczce — no, ale to przecież kobieta, długie włosy, krótki rozum.

— Nie mądra była? co?

— Pewnie, że nie mądra!

— Masz pan rację, głupia była, głupia! Gdyby bawiła się, marnowała, przejadła, przepiła, nikomu nie zostawiła — to spocezęłaby spokojnie w ziemi, ale że zapisała

ochronkom, sierotom, bractwom i dewotkom
i biedakom, to nie doznaje wdzięczności,
jeszcze za grób ścigają ją zarzutami —
głupia, głupia!

III.

UŚMIECH SZCZĘŚCIA.

Antoni Świerk był uszczęśliwiony! Wpadł do izby swej i zamknąwszy się na klucz rozłożył na stole 20 banknotów 1.000 koronowych, przeliczył, oglądnał do światła, poukładał jeden koło drugiego, potem ułożył je w formie gwiazdy, uśmiechnął się i stanąwszy z rękami utopionemi w kieszeniach patrzył to na banknoty to na sufit.

Antoni Świerk został w sposób uczciwy bogaczem. Był służącym u bogatego, chorowitego staruszka, obsługiwał go, pielęgnował, zarządzał kuchnią, kucharką, prowadził rachunki domowych wydatków bez rażących deficytów, aż wdzięczny bogacz po paru latach zapisawszy mu 20.000 koron w testamentie, przeniósł się do wieczności.

Dziś w rocznicę śmierci, wypłacił notariusz Antoniemu Świerkowi w imieniu spadkobierców cały legat 20.000 koron

okrągły, nowiutkiemi banknotami, bo testator nawet kosztów żadnych nie pozwolił potrącać Świerkowi. |

Szczęśliwy legatarjusz, napatrzywszy się pieniądzom, włożył je natychmiast do koperty i powiedział radośnie: Będę sobie panem!... ha! ha! panem! Stróż będzie mi się nisko kłaniał, wiedzą psie juchy, że mam pieniądze!... Mateuszowa już chciała dziesiątkę pożyczyć... poczekaj! długo będziesz czekać!... Pieniądze wsadzę do kufra... mogliby ukraść? Notarjusz radził dać do kasy Oszczędności — ach! będę się prosił potem o swe własne pieniądze, a ja chcę sobie na początek trochę pohulać. Wezmę sobie do kieszeni tysiąc — resztę schowam... możnaby to wsadzić za drzwiczki od wycieru z komina... tam nikt szukać nie będzie. Kominiarze?... byli niedawno... albo na szafie, na górze — tam nikt nie będzie przecie zaglądać, albo za obraz... A jakby ogień wybuchł? spali się wszystko na nie!... lepiej przy sobie... tysiąc na bok do kamizelki, reszta do kieszeni tu... kupię sobie niebieską kamizelkę i paczkę czekolady... będę jeździć sobie tramwajem tam i z powrotem przez cały dzień! Chodźmy Antoni pohulać! ha! ha! naprzód kamizelką!

Szczęśliwy wyszedł na ulicę, zamierzając iść na Kaźmierz po kamizelkę, ale już niedaleko utknął przed wystawą z kartkami widokowymi, przedstawiające masy głów i popiersi kobiecych. Moznaby coś do domu napisać, taką ładną kartkę... ale nie... jak się zwiędzą, że mam pieniądze, to zaraz będą chcieli je odemnie pożyczyć... Następnie zatrzymał się przed wystawą u masarza. Ślinka mu płynęła... ale odłożył to na później, aż zakupi niebieską kamizelkę. Niedaleko dojrzał magazyn krawiecki, były tam i kamizelki kolorowe, już chciał wejść, ale pomyślał, że na Kaźmierzu dostanie taką samą taniej, więc poszedł dalej, ale niedaleko zatrzymał go widok cukierni.

Wrażenia wystawy masarskiej i cukierniczej przypomniały mu prawa żołądka — uczuł głód i ten zaspokoić postanowił. Ale gdzie? Do Józefowej już nie pójde... jestem pan! zjem sobie po pańsku... możeby tu?... jacyś panowie siedzą,... nie wiem nawet, jak do tego wyfraczonego kelnera gadać o jakieś pańskie jedzenie! psie dusze, wszystko po francusku nazywają, jakieś sufle, breze, majoneze... wiem, co zrobię! kucharz od hrabiny otworzył garkuchnię w Dębnikach, ten mi da hrabski obiad!

W ten dzień popołudniu zgłosił się do notariusza agent policyjny o informację, opowiadając, że w Dębnikach jakiś niepozorny człowiek mieniał tysiączkę, że go przyaresztował, a aresztowany podaje nieprawdopodobną wymówkę, że dostał 20.000 koron w testamencie przez ręce notariusza... Antoni Świerk? — Tak, — to w rzeczywistości prawda! Zatelefonowano więc „pod telegraf“, aby wypuścić p. Antoniego Świerka!

Świerk nie martwił się wcale tym wypadkiem, owszem, śmiał się, że policja „wpadła“ i z satysfakcją opuścił areszt. Ze zmienionej tysiączki zakupił sobie na Stradomiu czerwoną kamizelkę lokajską ze złoconymi guzikami, cylinder, rękawiczki, tuzin szelek, gramofon, paczkę czekolady, pierścionek i łańcuszek do zegarka. Sprytny żydek wmówił mu jeszcze błyszczący budzik, pled, pudełko na kapelusz, torbę podróżną i prasę do kopjowania listów.

Zadowolony z siebie i nabytków, ulokował Antoni w swej izdebce kupione przedmioty, włożył tysiączkę do torby, torbę pod poduszkę i zasnął błogo uśmiechnięty.

Nazajutrz zbudził się niezwykle głodny. Wkrótce zapełniła się izba zapasami na dłuższą metę obliczonymi: obok szynki i zwoju kiełbasy, znalazły się: paczka sardynek, paczka biszkoptów, słoje marmelady i parę butelek wódki i wina. Objadłszy się, począł rozmyślać nad swym szczęściem. Czuł potrzebę pogadania z kim, ale bał się, żeby nie potrzebował częstować, albo pożyczać pieniędzy...

Przeliczył pieniądze jeszcze raz i włożył do torby, którą schował pod koldrę. Wyszedł bez wyraźnego celu. Przeszedłszy parę ulic, przypomniał sobie torbę. Niechby ukradli? Wrócił po nią. Zeszedłszy z nią po schodach doszedł do wniosku, że mu torba zawadza — wrócił więc, zostawił torbę, a pieniądze schował do kieszeni. Szedł bez celu, a zwolna troska zachmurzyła jego czoło. Brała go chętka pokazać, że jest „pan“, upić się, błysnąć tysiączkami przed oczy znajomym, — ale z drugiej strony bał się, aby od niego nie pożyczono... unikał znajomych, bo mu się zdawało, że każdy z nich będzie chciał poczęstunku, pożyczki, potrzebował się wypowiedzieć komu, zasięgnąć rady...

— Jak się macie Antoni? — zagadnął go nagle obok przechodzący mężczyzna, dźwigający kufer i manatki podróżne. Ho! ho! Jakaż to Antoni kupiliście czerwoną kamizelkę! Ino bat do ręki i pański furman!

Antoni nie był zadowolony z tego komplimentu, ale odrzekł: Jak się macie Jakóbie! Idziecie gdzie z tym kufrem, czy przeprowadzacie się?

— Jadę do Tarnowa, a stamtąd na wieś, kupuję od brata część schedy...

Antoni, pomyślał: kupuje, więc ma pieniądze, — nie będzie odemnie pożyczał... i pocieszony tą myślą, zaczął przyjaźniej rozmawiać z Jakóbem. Jakób robił przy elektryce w Krakowie, ale żona gospodarzyła na paru morgach pod Tarnowem. Co Jakób uzbierał pieniędzy, to dokupywał od rodzeństwa zagony i w tym celu wybrał się znowu do żony. Antoni czuł też pociąg do roli, więc nuże rozpytywać się o grunta i o cenę, aż wreszcie nim doszli do dworca kolei, dojrzało w nim postanowienie: pojedę z wami Jakóbie — może i ja co kupię!

Następnego dnia wieczorem siedział Antoni w restauracji na dworcu kolei w Tarnowie, gruntownie podpity z okazji

świadczenia przy kontrakcie Jakóba, a oczekując na pociąg dopijał się do reszty. Do pewności siebie, jaką mu przynosiło poczucie pieniędzy w kieszeni, do zadowolenia, że zdecydował się już na obranie sobie drogi jasnej, t. j. na kupno gospodarstwa, przyłączyło się podniecające działanie wódki. Uśmiechał się do siebie, stukał sobie laską, a od czasu do czasu wychylał kieliszek i pogryzał ser szwajcarski.

Przez okno dojrzał spacerującego po peronie policjanta, przypomniał mu się niewinny areszt „pod telegrafem“ i w oszołomionej głowie zrodziła się myśl żartobliwa, wzięcia „na kawał“ policjanta. Zapłacił przy bufecie napiwki i przekąskę i wyszedłszy chwiejnym krokiem na peron, dobył tyśiączkę z koperty i powiewając nią przed sobą, zapytał przechodzącego policjanta, czyby mu nie zmienił?

Zagadnięty, przystanął, chwycił za tyśiączkę i oglądawszy Antoniego od stóp do głów rzekł: — Może pan pójdzie ze mną na posterunek, to pomówimy o zmianie, proszę ze mną!

— Kiedy się spieszę, panie postenfirer, bo jadę do Krakowa!

— To pan pojedzie następnym pociągiem, — proszę ze mną!

— Po co ja mam chodzić! — może pan tu ze mną pogadać.

— Więc skąd to pan ma tę tysiączkę? Może z Rzeszowa? co? (Właśnie w Rzeszowie okradziono kasę przed paru dniami).

— Z Krakowa, nie z Rzeszowa, tam mają panie tylko rzeszowskie złoto, he! he! a mam i więcej! mam!

— Panie, pan widzę sobie trochę podchmielił, chodźże pan ze mną, bo ludzie się schodzą — proszę tu na posterunek — i wzięwszy pod rękę Antoniego, poprowadził go policjant z sobą. W izbie zrewidował go, wysłuchał opowiadania o testamencie i notariuszu, a potem — spisał krótkie doniesienie do sądu.

Dotychczas nie brał Antoni na serio całej tej historii, ale gdy mu pieniądze zabrano i zamknięto w celi policyjnej, otrzeźwiał i zażądał „sądu“. Dozorca odpowiedział, że go zaraz jutro rano do aresztu sądowego zaprowadzi, a tymczasem: dobra noc!

Szczyściem, że trunek zmożył strapionego. Obudził się z bólem głowy i strachem

przed dalszym aresztem. Nie teźnął podanej polewki z chlebem i dopominał się „sądu“. Rzeczywiście około 11 rano przesłuchał go sędzia, a wtrąciwszy do protokołu mimochodem historję o zapisie i odbiorze legatu od notariusza — głównie rozpiisał się o tem, iż obwiniony podaje świadków na fakt, że w ostatnich czasach był w Krakowie, a nie w Rzeszowie. Na prośbę o wypuszczenie, odpowiedział sędzia, że zaraz zażąda przesłuchania świadków, a jak tylko nadejdą ich zeznania i potwierdzą zeznania Antoniego, to go wypuści zaraz — co będzie tak za tydzień lub dwa.

— Jezus Marja! — zawołał Antoni! Tydzień niewinnie w areszcie! — Trzeba mi było żartów z policjantem! Zmiłuj się sędzio! Zatelegrafuj przez tę rurkę do gadania do notariusza, ja zapłacę, on poświadczy, na mój koszt!

Zeznania Antoniego i jego prośby, skłoniły sędziego, że zdecydował się telegrafować do notariusza, — a wieczorem wypuszczono Antoniego i oddano mu pieniądze po potrąceniu kosztów telegramów. — Antoni odprzysięgł się żartów z policjantami i noszenia przy sobie gotówki, zakupił gospodarstwo dostatnie, resztę wydał na

krowy, konie, potrzeby gospodarskie, wóz, pług, brony, uprząż i gospodaruje dotąd, zamierzając ożenić się z Jakóbową siostrą, skoro Jakób uzbiera sobie na spłatę jej schedy.

IV.

PAWEŁ, GAWEŁ I SALOMON.

Mieszkańcy miasta, związani zajęciem i stosunkami ze swą siedzibą, znają „wieś“ tylko z czasowych wyjazdów do... Zakopanego lub Rabki, kuropatwę, zającą z półmiska, gęś z targu, a kureę z kojca, jeden jaki lasek i parę łańców z za rogatek, wreszcie czasem, wyszedłszy nieco za miasto, widzą zakryte zielenią dachy najbliższych wsi w perspektywie; żyją produktami wsi, znają chłopków dostarczających z sąsiedztwa mleka, masła, owoców, więcej żydów dostarczających... wszystkiego, czasem narzekają, że będzie drożyzna, wyczytawszy w gazetach coś o nieurodzaju, o myszach w polu i zarazie bydłowej — ale poza tem nie bardzo wiedzą, czy kalafior rośnie na drzewie, brukselka na kapuście, groch przy drodze, mak w koreu, a ogórek przy marchwi w ziemi... Spacer odbywają w miejskim

ogrodzie publicznym, po uczęszczanych ulicach, a czasem, czasem w piękną niedzielę popołudniu puszczają się na wycieczkę do najbliższej... wiejskiej restauracji.

Innym był Paweł. Codziennie popołudniu szedł za miasto hen parę kilometrów, codzień w inną stronę, znał wszystkie drogi, ścieżki, przysiółki, domki, chałupy i ogrody. W ostatnich latach zmienił tryb o tyle, że stale odbywał swe wędrówki w zachodniej stronie, którą sobie upodobał. Na tych wędrówkach spotykał czasami podobnego sobie amatora natury, spacerującego również daleko za miasto, oglądającego ogródki, ładniejsze domki, przystawającego na wyższych punktach i poglądającego z zadumą w daleki widnokrąg. Paweł wiedział, że to Gaweł, Gaweł wiedział, że spotyka Pawła, ale osobiście nie znali się, a przystąpienie jednego do drugiego możeby mogło uchodzić za natręctwo...

Ale jednego dnia deszcz niespodziewany skłonił Gawła do zaofiarowania Pawłowi gościny pod swym parasolem, a tak powstała oficjalna znajomość i stałe pogwarki o swych zarogatkowych wrażeniach.

— Pod krzyżem jest ładna posiadłość — mówił Paweł — morga ogrodu, domek nie-

zły, ale na północnym stoku. Szkoda! mało słońca.

— Tak, tak, znam — odrzekł Gawęł — przed dwoma laty grzyb zjadł pogłogę.

— Mówiłem, że na północnym stoku!

— Niezły jest ten ogród za kościołem, drzewka owocowe, a przytem i parę starych dębów...

— Ale dom ruina.

— Tak, tak, uważałem. — A cóż pan powie o willi nad rzeką? he?

— Wilgoć panie, na stoku góry, niezdrenowane, deszcz wali na fundamenty — od frontu droga, latem kurz, w zimie błoto.

— Hm! zapewne!

Ile razy był dzień pogodny, na pewno spotkali się Paweł z Gawęłem gdzieś na zachodzie miasta, czasem upatrywali się zdala, a gdy który się nie zjawił, budził podejrzenie, że może chory. Spacerując, przysiadali na pagórkach, patrzyli na oblane słońcem łąny, nie przerywając rozmową zadowolenia swego z widoku, a wracając, omawiali zalety i wady poszczególnych posiadłości.

— Ten ogród za kościołem, z dębami, zielenią, pagórkowato położony, może najładniejszy — mówił wolno Paweł.

— Ale dom zrujnowany...

— Zrujnowany. — Chyba zburzyć i nowy postawić.

— Dużoby razem kosztowało! Chcą trzydzieści tysięcy! — mówił Gawęł.

— Już podnieśli! Chcieli pierwaj dwadzieścia pięć tysięcy!

— O! oni pod miastem powarjowali! Ten pod krzyżem chciał piętnaście tysięcy!

— A nad rzeką ośmnaście!

— Na przełazie dwadzieścia!

— Na podgrodziu także dwadzieścia!

Wyliczali jedne za drugą różne posiadłości i ich ceny — nagle umilkli: u obu błysnęło nagle w myśli światło: To konkurent do kupna?

Po chwili rzekł Gawęł zimniejszym tonem:

— Widocznie pan myśli coś kupić?

— Myśleć nie myślę — odrzekł Paweł (myślał już od pięciu lat o tem, jak i Gawęł) — ale gdyby tak... coś... gdzieś... niedrogo się trafiło... na lato, świeże powietrze — altanka — owoce — małe gospodarstwo...

— Kwaśne mleko, śmietanka, wiejska kawa, masełko...

— Tak, tak... na wiosnę młode ziemniaczki, ogóreczki, szparagi.

— Kalafiorek, kalarepka, marchewka...

— Truskawki, wisienki...

— Jabłuszka, gruszczeni...

— A kurczątka, kaczusie, indyczki!

— To, to, tu — ale cóż? to luksus panie przy takich cenach! Przecież ja muszę siedzieć w mieście, parę tygodni w lecie ferji, a zresztą tylko wieczorem spacerkiem...

— Właśnie, właśnie, trzeba mieć gospodarza, albo gospodynię...

— Urządzić jakieś mieszkanie, drenować, zmeliorować, ogrodzić porządnie...

— A pilnować, pilnować!

— To, to, to! Kradną kołki z płotów, owoce, łamią gałązki...

— Trzeba stróża, psa...

— Więc pan myślałby o tym ogrodzie za kościołem?

— Phi! To lub owo... nie wchodzę nikomu w drogę... jeżeli pan ma zamiar!...

— Specjalnego zamiaru nie mam — o tak, gdyby się trafiło!

— To taksamo, jak ja — mam siedzibę w mieście... chyba, że cośby się trafiło!...

Przez parę dni słoty, która po tej rozmowie nastąpiła, rozmyślali Paweł i Gawel nad swymi zamiarami posiadania willi pod miastem, a myśl ich zajmowało pytanie, czy

konkurencja ich nie wpłynie na szkodę kupna.

— Gawęł ma ochotę na ogródek za kościołem... to jasne, najczęściej tam chodzi, ogląda, wacha — możeby i kupić?...

— Najczęściej spotykam Pawła za kościołem, zna cenę... ma ochotę kupić, to jasne... możeby dobić targu?...

Spotkali się znowu... za kościołem. Szli długo w milczeniu, aż mijając „sporny“ ogródek, zaczął Gawęł:

— Dawno do mnie przysyłali faktora...

— Ośmiu współwłaścicieli... jeden chodził do mnie... już nawet decydowałem się raz, ale współwłaściciele żrą się ze sobą, dwaj chcą równą część gotówki, choć mają na swej części długi nad wartość.

— Mówił mi o tem adwokat — ale ja panu nie przeszkadzam wcale! jak pan ma ochotę kupić...

— Ja taksamo! taksamo!...

Tak sobie kupowali wille Paweł z Gawęłem na codziennych wycieczkach. Liście zaczęły opadać, zrujnowany dach domku za kościołem wynurzał się coraz wyraźniej z pośród drzew.

Westchnął Gawęł:

— Ruina — nie nie poprawiają! Coby tu trzeba wkładów.

W płocie brak już siedmnastu kołków.

— Z drugiej strony brakuje sztachet na dwanaście kroków!

— W ogrodzie widziałem masę myszy.

— Czemu łapek na nie nie zastawia?

— Jedno drzewko wycięli.

— Dwa panie, dwa, jedno przy parkanie, drugie przy studni.

— Studnia się wali.

— Cembrzyna zgniła.

— Niech się pan zdecyduje!

— Hm! dawałem dwadzieścia sześć tysięcy!

— A ja o tysiąc więcej!

— Oniby skórę chcieli zedrzeć z człowieka!

— No więc jakże! Ja nie będę wchodzić w drogę. Skoro pan kupuje — nazwiemy willę Gawłówką.

— A ja panu daję pierwszeństwo i nazwiemy ją Pawłówką — odrzekł Gaweł (myśląc w duszy: dobiję dziś targu, bo gotów kupić!) — Ja tam niekoniecznie — ot! gdyby się trafiło coś przypadkiem, nie drogo!

— Zupełnie jak ja! — odparł Paweł (decydując się w duszy na kupno).

Za parę dni spotkali się znowu koło Pawłówki - Gawłówki.

— Cóż tam? kupujemy? — zapytał niby wesoło Paweł.

— Hm! to pan dawał dwadzieścia ośm tysięcy... mówili mi, a żądają już trzydzieści dwa!

— Dawałem dwadzieścia siedm, jak Boga kocham; kłamią, żeby podbić cenę. O panu mówili mi, że pan daje już trzydzieści.

— Nieprawda, mówiłem, że mię będzie kosztować przeszło trzydzieści tysięcy z należytością rządową i kosztami, ale dawałem tylko dwadzieścia dziewięć!

— No widzisz pan, widzisz pan!

— Więcej już nie dam!

— Możemy czekać, aż nam się coś trafi.

— Nie ma nic pilnego, lepiej czekać okazji.

Na drugi dzień Paweł krążył samotnie za kościołem, bo Gaweł nie pokazał się. Paweł zauważył, że koło upatrzonej posiadłości kroczy wzdłuż parkanu poważny żyd w jupicy, przystaje, ogląda, wraca, okrąża — widocznie liczy długość i szerokość na kroki.

— Nie ma co zwlekać — pomyślał Paweł, trzeba dobić targu, żydy już widzę zwąchały i ten zakątek.

Posłał zaraz wieczorem po swego faktora, a ten przyniósł mu wieść, że posiadłość kupił już pan Salomon Pfiffig za dwadzieścia ośm tysięcy z dodatkiem porękawicznego dla żony jednego z współwłaścicieli w kwocie sto koron, dla drugiej gramofon, dla matki starą kanapę i sztuczkę materji bawełnianej, a dla ciotki kuferek i pudło z kapelusza.

Nazajutrz dowiedział się i Gaweł o przejściu Pawłówki - Gawłówki w ręce pana Salomona.

Nie byli parę dni na spacerze, a spotkawszy się znowu, udawali obaj, że ich to kupno nic nie obchodzi. Nie ma nic pilnego, nie mają zamiaru gospodarować — chyba, gdyby się coś „trafiło“ nie drogo... — Spacerują więc dalej po okolicy i czytają pilnie w gazetach inseraty, czy nie trafi się „coś, gdzieś, niedrogo“...

V.

PRZYGODA TUHAJ - BEJA.

Do grona personalu teatru popularnego należał artysta, występujący pod mianem p. Dekarta. Marzył on w cichości ducha o roli Hamleta, Otella lub Romea, wreszcie Gucia lub choćby Papkina, ale na razie musiał zadawałniać się rolami znacznie, bardzo znacznie mniejszemi, n. p.: „pacholek“, „gość pierwszy“, „strażnik“ i t. p., co go bolało i gryzło, a jedyną jego pociechą obok uczenia się na pamięć rozmaitych ról z Szekspira, Szyllera, Fredry, była miłość panny Hali, grywającej z powodzeniem podlotki i panny służącej, lub spełniającej rolę chórzystki, albo statystki. — Ale od pewnego czasu zaczął nowy robak gryść serce p. Dekarta: gdy los zaczął się doń uśmiechać — mianowicie powalił wybitniejszego aktora na łóżce choroby, z powodu czego powierzono

p. Dekartowi rolę hr. Lestra w Marji Stuart, zauważył, że jakiś starszy pan zaczął pojawiać się w krzesłach na sztukach, w których występowała panna Hala, gorąco ją oklaskiwał, a nawet posłał jej bukiet! Panna Hala wyśmiała p. Dekarta po pierwszej scenie zazdrości, umilkł, ale ilekroć wystąpił na scenę, oczy jego szukały wśród gości starszego pana, a dyrektor zbeształ go parę razy, że patrzy jak idjota na widownię, zamiast na artystę lub artystkę, do której mówi...

Na przedstawieniu Marji Stuart, dostrzegłszy podczas pauzy przez dziurkę w kurtynie, że starszy pan podał jakiś papier bileterowi, kręcił się koło panny Hali i śledził, czy jej bileter nie przyniesie jakiego listu — napróżno. — Ale ledwo wyszedł na scenę, w chwili, gdy jako hrabia Lester wygłosił do królowej Elżbiety słowa:

„Kiedy poglądam na boskie tve wdzięki,
Grożąca strata odnawia mi męki“.

dojrzał biletera za kulisami tuż przy pannie Hali i omal nie utknął w roli. — Wszedłszy za kulisy, zrobił Hali patetyczną scenę zazdrości, którą rozpoczął deklamacją:

„O ten co swoje szczęście połączył z kobietą,
Chwycił gałąź bluszczową nad przepaścią
[skrytą,
Urywa ją i pada, ginie wśród kamieni,
A na górze bluszcz bluszczem znowu się
[zieleni“.

poczem przystąpił do śledztwa co do listu przyniesionego przez biletera. — Panna Hala z oburzeniem postawiła ultimatum, że zrywa z nim wszelkie stosunki dyplomatyczne, nie pozostało więc nic innego, jak wyprzeć się wszelkich podejrzeń i jeszcze ją przeprosić.

W parę dni przybył mu do zazdrości nowy według jego zdania powód: oto panna Hala pojawiła się w gigantycznym kapeluszu z zielonym pióropuszem. — Twierdziła, że wzięła go na kredyt u Schönfeldowej, ale p. Dekart miał poważną wątpliwość, czy Schönfeldowa przyznałaby pannie Hali tak znaczny kredyt, podejrzewał, że to prezent od starszego pana... postanowił dotrzeć do jądra prawdy za każdą cenę i śledził Halę jeszcze pilniej, ku wielkiej zabawie koleżanek!

Nazajutrz grano przeróbkę z „Ogniem i Mieczem“. — P. Dekart w roli Tuhaj Beja

we wspaniałym kostjumie, może nie zbyt wiernym historycznie, ale bijącym w oczy szkarłatnym żupanem, zakrzywioną szablą i sztyletem za pasem, spiczastą, obłożoną futrem (króliczem) czapką, a przedewszystkiem długą, czarną dolepioną brodą, budził podziw i poklask, zwłaszcza galerji. Wtem, po drugim akcie spostrzegł nieobecność p. Hali i dowiedział się, że z powodu bólu głowy dostała urlop od statystowania w reszcie sztuki i poszła do domu.

Dzwonek, akt III. — Tuhaj Bej spojrział w widownię — miejsce starszego pana było niezajęte... Wściekłe podejrzenia zaczęły szarpać jego serce. — Skończył swą kwestję, dopiero w następnym akcie miał wystąpić... nie mówiąc nikomu słowa, zarzucił na swój wspaniały strój palto i chyłkiem wybiegł na ciemną ulicę. Nie daleko w trzeciej ulicy na drugiem piętrze było okienko mieszkania panny Hali. — Czy ona w domu? Tuhaj Bej przyspieszył kroku, pędzony brakiem czasu, zazdrością i chłodem przenikającym przez szarawary cienkie z lekkiej dymki i przez cienkie żółte trzewiki z zakrzywionemi do góry nosami, w których stopy mu się ślizgały. — W drugiej uliczce dojrzał we

mgle jakąś parę przed sobą: on w cylindrze na bakier, pantalony podgięte, laseczka w lewej ręce, prawą prowadził pod ramię zgrabną postać niewieścią... Oni? czy nie oni? Tuhaj Bej przyspieszył kroku, dzięki czemu spadł mu trzewik tatarski. — Gdy klnąc schylił się po niego, wypadł mu z brzękiem na bruk sztylet z za pasa i zleciała piękna spiczasta czapka, która z powodu małej dymensji ledwo na czubku głowy dotąd się mieściła. — Dogonił parę i przechodząc koło niej zaglądnął jej natarczywie w oczy. — Kobieta drgnęła, wołając: Jezus! Pan równocześnie zawołał: A to co? lecz Tuhaj Bej spostrzegłszy pomyłkę, drapnął naprzód bąknawszy: przepraszam! Zimny wiatr rozwiął mu brodę, jedną ręką musiał przytrzymywać ześlizgujący się z ramion paltot, drugą czapkę na czubku głowy, krzywa szabla plątała mu się koło nóg — biegł coraz prędzej, licząc się z czasem krótkim i powtarzając słowa Otella:

„Wstań czarna zemsto z głębokości piekieł,
Miłości, ustąp twego tronu w sercu
Nieubłaganej nienawiści, pęknij
Piersi, nabrzękła od padalczych żądań
Co cię pokłuły!...”

będzie awantura za kulisami, jak spostrzegą, że mnie nie ma... ale zaraz wrócę... nie ma jeszcze trzech minut... w pięciu będę z powrotem... ha! świeci się w jej oknie — więc prawda — jest w domu!

Z lekkim sercem nawrócił ku teatrowi. Na szczęście o tej porze było ciemno i pusto, nikt nie zauważył jego dziwnego stroju, dopiero w bliskości teatru z niepokojem zobaczył liczniejsze gromadki...

Tymczasem za kulisami — piekło! Spostrzeżono brak Tuhaj Beja, przeszukano napróżno wszystkie ubikacje, wszystko potwierdzało podejrzenie przyjaciółek panny Hali, że zniknięcie Tuhaj Beja spowodowane było oddaleniem się panny Hali...

Publiczność zaczęła już tupać w audytorjum. — Dyrektor wściekły zdecydował się objąć rolę Tuhaj Beja. — Klnąc i pomstując Dekartowi wołał: Podaj tam jaki kolorowy hałas z garderoby... Dymisja od jutra! Fryzjer! dawaj mastyks i brodę, sto tysięcy djabłów... zaczynajcie... występuję w końcu aktu, będę na czas. — Pas jaki!... sztylet! niema? dajcie z kancelarji nóż do rozcinania książek... szablę — co? wszystkie zajęte?... dajcie mi miecz Kiejstuta... Kurtyna w górę do diabła, bo tupią!... czapka! gdzie jaka

czapka do kroć sto tysięcy!... co tam znowu za wrzawa przed budynkiem? — Zobacz który — odpędzić andrusów!

W tej chwili nieszczęśliwy Tuhaj Bej, przebywszy bez wypadku drogę od domu panny Hali, u kresu samego opadnięty został przed samym budynkiem przez andrusów, czatujących na wyproszenie kontramarki od wcześniej wychodzących z teatru widzów, lub na wślizgnięcie się koło biletera do środka. — Wyrostki opadły ze śmiechem postać Tuhaj Beja i z krzykiem odprowadzili go ku wejściu za kulisy. Tuhaj Bej, mając ręce zajęte trzymaniem palta i czapki, nie mógł bez ryzyka użyć rąk do obrony, opędzał się tylko krzykiem: Precz! wynosić się! Co tu macie do roboty! — aż dopadł drzwi i wpadł za kulisy... Ujrzał przed sobą groźną postać drugiego Tuhaj Beja, wściekłego dyrektora i klękawszy przed nim, zawołał:

Dyrektorku! Na wszystko zaklinam ja Ciebie,
Na nadzieje, jakieśmy pokładali w siebie,
Nie wyganiaj mnie przebóg z tej jednej ustropi,
Z tej mię jednej Rodrygo luby nie wygoni!
Každy w nieszczęściu słuszne prawo rości,
Patrz! u nóg twoich błagam twej litości!

— Tuhaj Bej na scenę! — zawołał w tej chwili inspicjent — i Dekart skoczył na

scenę, wyprzedzając dyrektora, który grożąc mu pięścią, krzyknął: Dymisja! dymisja!

Ale po głębszej rozwadze, że wobec choroby amanta musi się wyręczać na razie Dekartem, postanowił dyrektor zamiast sprawiedliwości wykonać akt łaski i poprzestać na zwymyślaniu.

Koleżanki panny Hali utrzymywały, że panna Hała wychodząc z domu, zawsze zostawia lampę zaświeconą w mieszkaniu, ale nie wspomniały o tem panu Dekartowi.



SPIS RZECZY.

CZĘŚĆ I.

	Str.
I. Barwy polityczne	5
II. Tytulatura	9
III. Kandydaci poselscy	21
IV. Przymusowe uszczęśliwienie	25
V. Wybrańcy narodu	32
VI. Minister, eksminister, wiceminister	38
VII. Wyższość naszej konstytucji	42

CZĘŚĆ II.

I. Przemysłowiec	49
II. Kupiec	55
III. Wynalazca	60
IV. Mechanik	71
V. Działaczka społeczna	77
VI. Radio - amator	81
VII. Krytycy sztuki	86
VIII. Cywilizacja	92

CZĘŚĆ III.

I. Sen noey letniej	97
II. Wdzięczność	103
III. Uśmiech szczęścia	108
IV. Paweł, Gawęł i Salomon	118
V. Przygoda Tuhaj-Beja	127

INSTYTUT
BADAN I INSTRUKCJI PAN

<http://rcin.org.pl>

Warszawa
Tel. 26-52-31 w. 42

F
125